POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. **Dnia 14-go września 1940r.** **Rok II. Nr. 27**

Wojna o chrześcijański ideał życia

Układ niemiecko-sowiecki bezpośrednio poprzedzający wybuch obecnej wojny, tak katastrofalny w swoich skutkach dla wyniku kampanii wojennej 1939 roku w Polsce, niezmiernie uprościł zagadnienie oblicza ideowego tej wojny dla wszystkich narodów chrześcijańskich. Póki bowiem istniała możliwość starcia pomiędzy nazizmem niemieckim a bolszewizmem rosyjskim, pretensje Hitlera do odgrywania czołowej roli w jakiejś "krucjacie" Europy przeciwko czerwonej Eurazji znajdowały niewątpliwie pewien posłuch wśród skłonnych do złudzeń ludzi, szczególnie na Zachodzie. Tak było niewątpliwie w okresie Monachium, kiedy ofiarą padła sprzymierzona wówczas z Rosją Sowiecką—Czechosłowacja i kiedy nie rozumiano jeszcze, że nacjonalizm germański Hitlera jest jedynie pretekstem, mającym utorować nazizmowi drogę do podboju Europy. Zamykano oczy na to, że wyrugowanie chrzescijaństwa z wychowania młodzieży niemieckiej, z całego niemieckiego życia publicznego, oraz zastąpienie go barbarzyńskim rasizmem o skrajnych dążnościach zaborczych, opartym o fantastyczną potęgę militarną, stanowi dla kultury Europy daleko większe niebezpieczeństwo od nieudolnego sowieckiego bezbożnictwa i wojującego komunizmu, wpatrzonego w mit rewolucji światowej i opartego o czerwoną armię, której słabość wojskowa wykazaną została przez kampanię fińską.

Dzisiaj bezbożnictwa hitlerowskie i bolszewickie, sprzymierzone z sobą sojuszem niemiecko-rosyjskim, stanowią dla całego świata chrześcijańskiego niebezpieczeństwo wspólne. Póki układ niemiecko-sowiecki trwa, a nie został on dotąd niczym osłabiony, świat chrześcijański ma do czynienia z połączonymi siłami wrogów Boga i Kościoła. Ponieważ jednak z obu tych wrogów Niemcy są bez porównania silniejszą potęgą i daleko większym niebezpieczeństwem, teraz zwłaszcza, kiedy opanowały prawie całą Europę, jasne jest, kto dla świata chrześcijańskiego jest "wrogiem Nr. 1." Tym bardziej tak jest i dla nas Polaków, którzy walczymy w obecnej wojnie i o oswobodzenie Polski od najeźdzców i o ocalenie ideałów Chrystusowych na świecie.

Zaciekłość przeciw-chrześcijańska hitleryzmu wzmogła się jeszcze w ciągu bieżącej wojny. Bóg i Opatrzność są w przemówieniach Hitlera czczymi frazesami. Znane są dziś już całemu światu barbarzyńskie fakty prześladowania kościoła w okupowanej Polsce. Jeżeli mniej słychać o tego rodzaju gwałtach i okrucieństwach w podbitych krajach zachodniej Europy, to dlatego tylko, że rządzą tam przeważnie niemieckie władze wojskowe, nie pozbawione jeszcze pewnych tradycji, dzięki którym największe nawet barbarzyństwa, popełniane ongiś przez armię Cesarza Wilhelma, bledną wobec wyczynów Gestapo, jak igraszki wobec powagi życia. Oficjalna propaganda niemiecka, zastępująca katechizm w szkołach, przedstawia Hitlera jako pomazańca bożego, który dla świata germańskiego ma się stać większym "zbawicielem" niż Chrystus Pan, którego propaganda ta przedstawia jako wymysł żydowski!

Według doktryny o wyższości rasy niemieskiej, będącej podstawą światopoglądu narodowo-socjalistycznego, "prawem jest to, co jest w interesie niemieckiego narodu—bezprawiem jest wszystko, co narodowi niemieckiemu przeszkadza."

W myśl tej doktryny, Niemcy mają nie tylko prawo lecz i obowiązek zabrać innym narodom tyle przestrzeni i mienia, ile uważają za potrzebne dla własnej wygody życiowej. Według tej doktryny, Niemcy mają nie tylko prawo lecz i obowiązek kierowania życiem innych narodów, w celu uzgodnienia go z własnymi interesami. Stąd też tak widoczne dzisiaj dążenia Niemiec do urządzenia Europy w ten sposób, by jej kraje nie niemieckie i nie przyłączone bezpośrednio do Rzeszy, były rodzajem kolonii, któreby pracowały na rzecz niemieckich panów i rządziły się według wzoru niemieckiego "wodzostwa." Jak dotąd żadne z państw europejskich "dobrowolnie" nie poddało się Niemcom. Niestety niewiele tylko państw próbowało oprzeć się siłą. Żadne z nich nie rozumiało konieczności połączenia się dla wspólnej obrony. Najgorzej zaś postąpiły katolickie Włochy, zaszczycone na swojej ziemi siedzibą samego Namiestnika Chrystusa. Zapomniawszy o swoich wspaniałych tradycjach, wystąpiły one po stronie Niemiec dlatego tylko, by nie wyjść z gołymi rękoma przy spodziewanym rozszarpaniu Francji, by okupić zawczasu łaski domniemanych zwycięzców. Włochy nie są dziś wolnym sprzymierzeńcem Trzeciej Rzeszy, lecz jej posłusznym pachołkiem.

Narody, walczące dzisiaj u boku W. Brytanii z Polską na czele, reprezentują pod każdym względem chrześcijańskie ideały sprawiedliwego pokoju. W przeciwieństwie do zaborczego rasizmu nazistowskiego, narody te walczą wyłącznie o wolność, nie tylko własną, lecz i wszystkich innych narodów w Europie. Żaden z tych narodów nie chce zaboru, nie chce cudzej ziemi i cudzego mienia. Dążą one do pokoju, w którym by prawo chrystusowe tak samo regulowało współżycie pomiędzy narodami, jak i pomiędzy poszczególnymi ludźmi. Narody są bowiem równouprawnione i każdy naród ma równe prawo do swoich odwiecznych ziem i do sprawiedliwego podziału surowców. Spory pomiędzy narodami, tak samo jak spory pomiędzy poszczególnymi ludźmi, nie mogą być w cywilizowanym świecie rozstrzygane brutalną siłą, a jedynie nienaruszalnymi kanonami prawa, czerpiącego swoją moc w przykazaniach Bożych.

Wojny obecnej nie prowadzimy ani dla zemsty ani dla podbojów. Prowadzimy ją w imię przywrócenia prawa i sprawiedliwości na świecie z jednakową miarą dla wszystkich. Walczymy o pokój, w którym by wolne narody, rządzące się na podstawie ustrojów chrześcijańskich, współżyły z sobą złączone wspólną troską o wzajemną pomoc.

Miejsce strzaskanych symbolów swastyki i gwiazdy pięcio-ramiennej, przyświecających dzisiaj wskrzeszonej barbarii, zajmie z powrotem zwycięski krzyż Zbawiciela, odwieczny symbol zmartwychwstania—po męczeństwie.

Adam Romer.

Rada Narodowa o Armii Polskiej

Dnia 30 sierpnia Rada Narodowa w wyniku dłuższych obrad komisyjnych i plenarnych powzięła następujące uchwały:

1) *Rada Narodowa R.P. składa hołd bohaterstwu Narodu Polskiego, który w kraju krwawił się i krwawi w nierównej walce z wrogami, wykazując niezłomny hart ducha i wiarę w zwycięstwo.*

2) *Rada Narodowa przesyła wyrazy wdzięczności i uznania dla Armii Polskiej i jej żołnierza, który na wygnaniu z bohaterską determinacją prowadzi bój o oswobodzenie Polski, o sprawiedliwość w świecie i wolność uciemiężonych narodów, o zapanowanie etyki chrześcijańskiej w życiu międzynarodowym i o zwycięski pokój, oparty na tych zasadach.*

3) *Rada Narodowa, przyjąwszy do wiadomości:*

a) uratowanie i przewiezienie do Wielkiej Brytanii w tak trudnych warunkach tak wielkiej części Armii,

b) zawarcie umowy wojskowej polsko-angielskiej

wyraża na ręce Wodza Naczelnego swą radość, iż stworzone zostały na terenie W. Brytanii pomyślne warunki dalszego rozwoju siły zbrojnej Rzeczpospolitej.

W ciągu tego roku wiele narodów zmuszone było w ślad za nami chwycić za broń, przeciwko sprawcom tej wojny, która dlatego na naszych najpierw rozgorzała ziemiach, że zamieszkuje je lud, który na sztandarach swoich wypisał zawołanie: Za naszą Wolność i Waszą—*i którego wieszcze nauczali, że są dobra ponad życie droższe, że kto się wyzbędzie honoru, ten nie tylko hańbi siebie, ale i dzieci i wnuki swoje krzywdzi, że ulegają przemocy czasowo i wielkie narody, lecz że nikczemne giną. Kto pierwszy na takim stanął szańcu, ten słuszną stąd dumę czerpie.*

Jest jednak inna jeszcze przyczyna, dla której, obok imienia Wielkiej Brytanii imię Polski szczególną w obozie obrońców cywilizacji chrześcijańskiej promienieje chwałą.

Jest nią hartowna jak stal i nie znającą wahania, a cóż dopiero zdrady, jednomyślna wierność społeczna, cechująca zarówno najstarszą demokrację świata, jak i jej polską sojuszniczkę. Żołnierska zaiste wierność, dochowana przez cały naród polski, w obliczu prześladowań, którym równych, bodajże w historii nie było i pomimo strasznego wstrząsu podwójnego najazdu. . . .

Przed rokiem pracowity i pokojowy naród nasz uprawiał ziemię trzydziestokilkumilionowego państwa, które w ciągu dwudziestu lat odrodzonego niepodległego bytu, podniosło swoje miasta i wsie z gruzów i upadku, które na pobojowiskach i zgliszczach poprzedniej wojny krzesiło nowe życie, którego symbolem były Gdynia i nowa Warszawa, łuny hutniczych pieców wśród sandomierskich lasów i strumienie tatrzańskie, ujarzmione w rożnowskich turbinach.

Byliśmy na dorobku, idąc na przód o własnych siłach, dobra cudzego nie żądni. Aż oto zwalił się na nas potop barbarzyńskich najazdów wrześniowych i w ciągu czterech tygodni wysiłek dwudziestu lat znojnej pracy obrócił się w perzynę.

Dlaczego w obliczu tego nieszczęścia nie załamano się w Polsce? Dlaczego nie znalazł się nikt, ktoby ze śmiercią w sercu i bluźnierstwem na ustach poszedł paktować z wrogiem? Dlaczego oto od roku groźna wymowa milczenia milionów Polaków przypomina codziennie niemieckiemu satrapie, że nie on pierwszy w murach Wawelu koniec Rzeczypospolitej ogłaszał,— murach, co przechowały echo słów, którymi przed trzystu laty kapłan polski karcił pyszałkowatą butę najeźdźcy przypomnieniem, że szczęście wojenne jest zmienne, a drogi Boże niezbadane? Dlaczego armie polskie, na rozkaz Naczelnego Wodza, jak Feniks z popiołów powstają do walki z Niemcami, gdziekolwiek stopa polskiego żołnierza-uchodźcy dotknie wolnej, sprzymierzonej ziemi?

Oto dlatego, że pierwszego września 1939 *roku Naród Polski poszedł w bój, jak jeden mąż, bezprzykładną jednomyślnością decyzji i woli obrony nietylko swej ojcowizny, ale i najświetszych dóbr tej chrześcijańskiej cywilizacji, do której przynależność po tylekroć w dziejach krwią swoją pieczętował.*

Z tą samą wspaniałą jednomyślnością—wielki naród brytyjski zaraz potem ogłosił wojnę przeciwko Niemcom, nietylko dlatego, by zdradziecko napadniętej Polsce słowa dochować, ale dlatego, że zrozumiał, iż nadszedł czas, w którym już nieuchronnie moce dobra i zła, światła i ciemności zetrzeć się muszą ze sobą na życie czy śmierć.

I dlatego szczególną wymowę ma to, że w pierwszą rocznicę tych przełomowych dni Orzeł Biały gotuje się do zwycięskiego lotu u skalistych wybrzeży tych Wysp Brytyjskich, z których prędzej czy później wyruszy krzyżowa wyprawa, co wrogów człowieczeństwa pokona i podwaliny nowego ładu i pokoju w Europie położy, tak mocne i trwałe, że przyszłe pokolenia z błogosławieństwem na ustach wspominać będą daty wiekopomnych decyzji września 1939 *roku.*

Z przemówienia Prezydenta R.P. Władysława Raczkiewicza, wygłoszonego w jednym z obozów Polskich w Szkocji dnia 1-go września b.r.

Rubikon amerykański

UKŁAD ANGLO-AMERYKAŃSKI

Podpisany w Waszyngtonie układ anglo-amerykański w sprawie wymiany statków wojennych na bazy morskie i powietrzne jest faktem pierwszorzędnej wagi znakomicie powiększającym szanse zwycięstwa Anglii i jej sprzymierzeńców.

Gdy państwo neutralne odstępuje część swej floty jednej ze stron wojujących wzamian za bazy, potrzebne mu na wypadek wojny z drugą stroną, jest to pociągnięcie daleko przekraczające granice t. zw. "życzliwej neutralności." A tak właśnie postąpiła Ameryka, dokonując transakcji, na mocy której Anglia otrzymała 50 kontrtorpedowców amerykańskich, zaś Ameryka punkty oparcia dla swej floty i lotnictwa na wyspach brytyjskich, a częściowo na lądzie, niezmiernie ważne strategicznie dla obrony jej wschodniego wybrzeża oraz kanału panamskiego. Rodzaj torpedowców i techniczne warunki umowy są rzeczą drugorzędną. Doniosłość jej leży w samym fakcie rozszerzenia współpracy U.S.A. z Anglią, nabierającej co raz wyraźniejszego charakteru wspólnej walki przeciw wspólnemu wrogowi. Wstępem do niej były konferencje, jakie niedawno toczyły się pomiędzy rządami oraz sztabami generalnymi Ameryki, Anglii i Kanady.

Postanowienie prezydenta Roosevelta, który przyjął ofertę brytyjską, jest tym bardziej znamienne, że nastąpiło ono niemal w przededniu rozpoczynającej się w U.S.A. kampanii wyborczej. Roosevelt zna dobrze nastroje swego kraju. Nie ryzykowałby podobnego kroku, gdyby nie był przekonany, że nie tylko nie zaszkodzi mu on w dojściu do władzy po raz trzeci, lecz przeciwnie powiększy szanse jego wyboru.

ROZDŹWIĘKI EUROPEJSKO-AMERYKAŃSKIE PO R. 1918

Zanim jednak wyciągniemy wnioski, które same się narzucają, nie od rzeczy będzie tu, nakreślić w krótkim zarysie tło stosunków anglo-amerykańskich i stanowisko Ameryki w okresie poprzedzającym wojnę obecną oraz podczas jej trwania.

Dwa oceany i potężna flota, którą dzięki kanałowi panamskiemu można szybko koncentrować po obu stronach wybrzeża St. Zjednoczonych A.P., wydawały się im przez długie lata dostatecznym zabezpieczeniem na wypadek międzynarodowych powikłań wojennych. Wprawdzie Atlantyk nie uchronił U.S.A. od udziału w wojnie światowej, ale najwięksi pesymiści amerykańscy nie przypuszczali, że z tej właśnie strony, od wschodu, powstanie dla Ameryki groźba, stokroć bardziej alarmująca, niż ta, która skłoniła ją w roku 1917 do zerwania z doktryną izolacji to znaczy ze stanowiskiem, które domagało się niemieszania się w sprawy europejskie.

Doktryna ta nie tylko nie osłabła po wojnie światowej, lecz jeszcze głębiej zakorzeniła się w szerokich masach, zarówno obozu republikańskiego, jak demokratycznego. Opinia amerykańska była bardzo rozczarowana następstwami tej wojny, które zamiast współpracy narodów i trwałego pokoju, przyniosły nieustające kryzysy, dotkliwie odczuwane po tamtej stronie Atlantyku. Stosunki pomiędzy U.S.A. a ich byłymi aliantami pozostawiały wiele do życzenia. Wytaczano sobie wzajemne pretensje. Alianci europejscy zarzucali Ameryce ciasną zaściankowość, twierdząc, że była ona powodem bankructwa najlepszych poczynań pokojowych, że zdradziła Ligę Narodów, że nie wykazała należytego zrozumienia dla wielkich zagadnień gospodarczych, że zasklepiła się we własnej, jak się później okazało, bardzo zawodnej "prosperity." Ameryka odpowiadała na to, że alianci winni przede wszystkim spełnić swe zobowiązania i zapłacić długi wojenne, że ofiary poniesione przez nią dla nich poszły na marne, bo nie dały pokoju Europie, która była w dalszym ciągu ogniskiem stałego zamętu, że więcej nie powtórzy ona błędów, popełnionych przez prezydenta Wilsona.



Mapka przedstawiająca angielskie bazy morskie odstąpione Stanom

PRÓBY I PRZESZKODY ZBLIŻENIA

Jeśli chodzi o Anglię, starała się ona bardzo o względy Ameryki i dużo poświęciła dla współpracy z nią. Wyrzekła się sojuszu z Japonią, zrezygnowała z przewagi na morzach, przyznając U.S.A. parytet, to znaczy równość sił, nie szczędziła wysiłków, by zaskarbić sobie sympatie wielkiej demokracji amerykańskiej. Był to na ogół flirt bez wzajemności. Współpraca anglo - amerykańska istniała tylko w dziedzinie frazesów i urzędowych oświadczeń. Dopiero po przewrocie w Niemczech i dojściu do władzy Hitlera nastroje opinii amerykańskiej zaczęły przechylać się wyraźniej na rzecz współpracy z demokratycznymi państwami Europy. Nie mało przyczyniło się do tego objęcie rządów przez prezydenta Roosevelta, który od pierwszej chwili zajął stanowisko, potępiające najostrzej ideologię nazistowską, ostrzegał przed kryjącymi się w niej niebezpieczeństwami, również dla Ameryki i nie ustawał w wysiłkach ratowania pokoju świata. Ale Ameryka była zbyt bardzo pochłonięta ciężkimi kłopotami, porządkowaniem własnego domu po wielkim krachu r. 1929, by angażować się w obce sprawy.

Liczne apele Roosevelta do dyktatorów nie odniosły żadnego skutku. Z drugiej strony niepowodzenia polityki mocarstw zachodnich, ich chwiejność, kompromisy z Hitlerem i Mussolinim, wywoływały jak najgorszy efekt w Ameryce, zniechęcając ją jeszcze bardziej do spraw naszego kontynentu. Monachium stanowiło pod tym względem punkt szczytowy. Opinia amerykańska, która podczas kryzysu wrześniowego r. 1938 była żywo poruszona i domagała się od swego rządu czynnego współdziałania przeciw "gangsterom" europejskim, przyjęła z oburzeniem i zgorszeniem kapitulację monachijską i zdradę Czechosłowacji. Najskrajniejsi izolacjoniści amerykańscy znowu doszli do głosu.

AMERYKA PO STRONIE DEMOKRACYJ

Wystąpienia prezydenta Roosevelta bezpośrednio przed wybuchem wojny obecnej oraz później są zbyt świeże w pamięci naszej, by je tu przypominać. Olbrzymia większość opinii amerykańskiej stanęła całym sercem po stronie państw alianckich. W listopadzie r. 1939 prezydent Roosevelt spowodował rewizję ustawy o neutralności, wprowadzonej wżycie przed trzema laty i wzbraniającej sprzedaży broni stronom wojującym. Zmiana jej poszła w kierunku umożliwiającym wydatną pomoc aliantom na zasadzie klauzuli "*cash and carry*," która zezwala na wywóz broni nabytej za gotówkę i przewożonej na własnych statkach.

Pomoc Ameryki nie była dostatecznie wyzyskana nie tyle z powodu trudności technicznych, ile wskutek słabej inicjatywy aliantów. W pierwszym okresie wojny, zahipnotyzowani linią Maginota oraz planem długotrwałej blokady Niemiec, nie postarali się oni należycie o przyśpieszenie dostaw amerykańskich. Prowadzili propagandę ospale i niezręcznie, przepuszczając niejedną okazję dla sparaliżowania propagandy niemieckiej. Najfatalniejsze wrażenie jednak wywierał sam sposób prowadzenia wojny przez aliantów. Amerykanie lubią szybkie i efektowne sukcesy. Taktyka defensywy i zwlekania nie wzbudzała ich zaufania.

WOJNA ZBLIŻA SIĘ DO AMERYKI

W miarę rozwoju wypadków wojennych od wiosny bieżącego roku i co raz to nowych inwazyj Hitlera, pod wrażeniem zwycięstw odniesionych przez jego "Blitzkrieg," Amerykanie zaczęli jednak zdawać sobie nareszcie sprawę, że zagrażają one co raz bardziej ich własnemu bezpieczeństwu. Katastrofa Francji i przystąpienie Włoch do wojny, groźba całkowitego opanowania Europy przez Hitlera i jego wspólników, uprzytomniły im tę groźbę w sposób alarmujący. Roosevelt, przyjmując po raz trzeci kandydaturę na prezydenta, powiedział: "Stoimy przed jednym z najdonioślejszych rozdroży w historii. Nie jest to tylko wybór pomiędzy ustrojem demokratycznym a dyktaturą, pomiędzy wolnością a niewolą, postępem a wstecznictwem."

Na obu konwencjach, demokratycznej i republikańskiej, które mianowały kandydatów na prezydenta, przyjęto rezolucje, podkreślające, iż Ameryka gotowa jest udzielić wszelkiej pomocy aliantom, "prócz przystąpienia do wojny." Kandydat republikański Wendell Willkie formułował to nie mniej stanowczo, niż Roosevelt. Jasne jest, że cała opinia amerykańska, wyłączając chyba tylko amerykańskich nazich, gorąco pragnie zwycięstwa Anglii i jej sprzymierzeńców nie tylko ze względów ideowych i uczuciowych, lecz również w swoim własnym dobrze zrozumianym interesie. Nie należy jednak zapominać, że té względy odgrywają bardzo dużą rolę, w jej postanowieniach. Znaczna część ludności U.S.A. to emigranci z Europy w pierwszym, drugim lub trzecim pokoleniu przeważnie z krajów napadniętych przez Hitlera.

AMERYKA ZBLIŻA SIĘ DO WOJNY

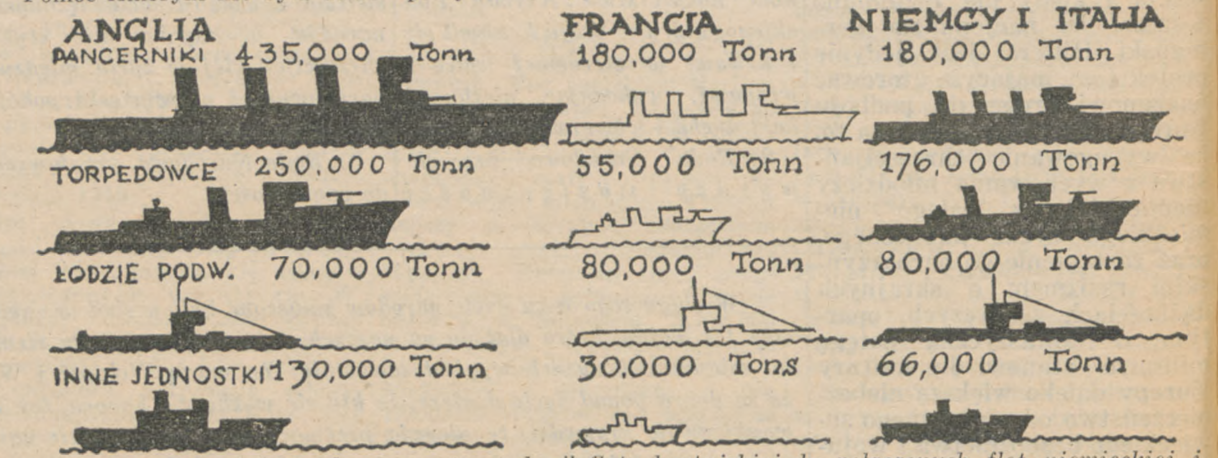
Nie znaczy to, że w opinii amerykańskiej dojrzewa już postanowienie, by przystąpić do wojny. Żaden polityk amerykański, który wystąpiłby z podobną propozycją, nie może liczyć w obecnym stanie rzeczy na poparcie Kongresu (Izby Reprezentatów i Senatu) a tylko Kongres ma prawo wypowiedzenia wojny, jeśli U.S.A. nie jest bezpośrednio zaatakowane.

Pomijając więc tę możliwość, która nie jest jeszcze dziś aktualna, lecz bardzo prawdopodobna w dalszym rozwoju wypadków, wystarczy, jeśli Ameryka udzielać będzie co raz większej pomocy w dostawach różnego rodzaju broni, przede wszystkiem aeroplanów, imperium brytyjskiemu, a co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ostatnie sukcesy Anglii w walkach powietrznych z Niemcami wywarły wielkie wrażenie w Ameryce. Prasa amerykańska jest pełna podziwu dla bohaterstwa lotników angielskich, którzy osiągają stałe zwycięstwa, mimo przewagi liczebnej nieprzyjaciela i wyraża przekonanie, że "Blitzkrieg" powietrzny Hitlera zawiódł całkowicie. Przygważdża ona kłamstwa niemieckie o stratach angielskich i zniszczeniach, dokonywanych przez naloty na Anglię. Wszystko to, oczywiście, oddziaływa nader korzystnie na intensywniejszy udział Ameryki w montowaniu zwycięstwa aliantów. Z drugiej strony rozumie ona bardzo dobrze, że Anglia, walcząc z Hitlerem, broni nie tylko siebie, lecz i Ameryki i że zniszczenie floty brytyjskiej byłoby dla niej katastrofą.

Faktem jest, że Ameryka wiąże co raz ściślej losy swej wolności z wolnością Europy. Hitler zadał cios śmiertelny jej odosobnieniu. Ostatni krok U.S.A. o charakterze pomocy i współpracy wojennej świadczy, że przeszła ona przez Rubikon odosobnienia i wstąpiła na nową drogę, z której będzie trudno zawrócić. Churchill w mowie swej wyraził się bardzo pięknie o zacieśniającej się w czasie wojny współpracy demokracji angielskiej i amerykańskiej. "Rozwój jej—rzekł—nie da się powstrzymać. Jest on, jak Missisipi. Płynie wezbraną falą. Niechaj płynie dalej nieubłagany, nieodparty, dobroczynny, ku szerszym lądom i lepszemu jutru."

Ze stanowiska polskiego należy powitać z największą radością zawarty układ anglo-amerykański. Serdeczne węzły przyjaźni, tradycji i pokrewieństwa łączą Polskę z Ameryką. Nie zapominajmy, że przystąpiła ona do ostatniej wojny pod hasłem niepodległości Polski, zapewnienia jej dostępu do morza. To samo hasło wyzwolenia Polski i innych narodów jest jej jeszcze bardziej drogie dzisiaj.

Florian Sokołów



Wykres przedstawiający obrazowo stosunek sił floty brytyjskiej do połączonych flot niemieckiej i włoskiej przed układem anglo-amerykańskim. 50 torpedowców, które weszły w skład floty W. Brytanii czynią jej przewagę bezsporną

Za waszą i naszą wolność

Historia się niestety powtarza. Tak jak niegdyś po barbarzyńskich rozbiorach Polski, nie znajdujących niemal odpowiednika w historii świata, tak również obecnie rozlała się po krajach europejskich, fala uchodźców polskich. Ludzie różnych pokrojów, różnych warstw społecznych, wszelakich zapatrywań wyrwani zostali biegiem wypadków wojennych z ojczyzny, rzuceni w odmęt tułaczki, skazani na wędrówkę, która—wierzymy—prowadzi do wolnej i nowej Polski. Każdy rozumie i uznaje, że dla tego ostatecznego celu wychodźstwa już obecnie należy pracować, już w chwili obecnej trzeba przestawić nieraz swe pojęcia, swe przyzwyczajenia, że dla tego upragnionego celu trzeba znieść wiele chwilowych trudów.

Obserwując obecne stosunki stwierdzić należy, że całe uchodźstwo polskie z małymi i nielicznymi wyjątkami zrozumiało i doceniło potrzeby chwili. Obecne pokolenie polskie, które bieg wypadków dziejowych rzucił na tułaczkę zdało sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nim zaciążyła. Przypominam sobie dokładnie dość odległe już obecnie czasy pobytu w Rumunii. Iluż to wówczas ludzi starszych, często schorowanych, steranych wiekiem błagało o wysłanie do Francji. Dla całego niemal uchodźstwa polskiego w Rumunii Francja stała się symbolem pracy dla Polski, ostatecznym celem marzeń. Każdy ożywiony był pragnieniem znalezienia się w szeregach organizującej się wówczas armii narodowej. Słowa "będziemy walczyć za wolność naszej Ojczyzny i państw ujarzmionych przez Hitlera"—padały ze wszystkich niemal ust. Okazało się, że duch, jaki ożywiał armię i społeczeństwo polskie w pamiętne dni września roku ubiegłego bynajmniej się nie załamał. Przeciwnie po okresie pewnego odrętwienia, wywołanego niesłychanie szybkim biegiem wypadków nastąpiło całkowite odrodzenie.

Odrodzenie to było tym pełniejsze, że do momentów natury patriotycznej i obywatelskiej doszły inne-natury osobistej. Od chwili gdy z poza pilnie strzeżonej granicy polskiej zaczęły dochodzić strzępy wiadomości o tyranii i bezwzględności brunatnych i czerwonych siepaczy emigracja poczęła dyszeć chęcią zemsty. Zemsty nie tylko za zniszczone miasta i osiedla, za spaloną stolicę, lecz za sponiewieraną godność narodu, za nieludzką, zbrodniczą przemoc.

Ożywiona tym duchem armia polska we Francji dokazywała niemal cudów bohaterstwa, budząc powszechny podziw nawet u wrogów. A wróg postawił sobie za zadanie przede wszystkim zniszczenie najlepszych cząstek armii alianckiej, do których, co z dumą musimy stwierdzić, należała armia polska. Walczyliśmy, jak niegdyś na obcych ziemiach na ziemiach Francji, Belgii, Norwegii, gdzie tylko zagrożony był byt i egzystencja państwowa innych narodów. Odżyły jakżeż wymownie i niemal namacalnie słowa: "za naszą i waszą wolność." Armia nasza walczyła w imię sprawiedliwości międzynarodowej, stała się jej bronią, niejako jej symbolem widocznym, groźnym dla wroga.

Zresztą sprawiedliwość międzynarodowa, odwieczne prawo każdego narodu do stworzenia sobie własnego bytu państwowego i idea odrodzenia Polski—to dwa pojęcia łączące się i wzajemnie uzupełniające. Każdy więc sukces oręża polskiego we Francji czy w innym kraju oznaczał sukces dla sprawy polskiej, przybliżał niejako moment ostateczny powrotu do wolnej Ojczyzny. Żołnierz rozumiał to i swą odwagą, samozaparciem nawiązał do chlubnych tradycji narodowych.

Otoczona nimbem chwały armia polska dotarła do gościnnych brzegów Wielkiej Brytanii. Niestety nie wszystkim było dane znaleść się na wyspach angielskich. Trudy i znoje wojenne, porażka Francji, trudy transportów itd. wszystko to razem tak jak po kampanii polskiej, chwilowo osłabiło nieco samopoczucie żołnierzy. Dzięki opiece gościnnej Anglii żołnierze przyszli znów szybko do siebie. Początkowe zniechęcenie ustąpiło. Minął już okres rekonwalescencji. Obecnie duch wojska podniósł się, dążenie do ostatecznego celu zwycięstwa wzmogło.

Armia polska skoncentrowana w obozach wojskowych górzystej Szkocji czeka na moment, kiedy znów przyjdzie jej w udziale spotkanie się z odwiecznym wrogiem polskości, z barbarzyńcą niemieckim. Znów z ust żołnierskich padną słowa: "za waszą i naszą wolność" i znów historia polskiego czynu zbrojnego wzbogaci się o chlubne rozdziały.

Kazimierz Lipnicki

Polsko-angielskie związki kulturalne

II *

AWANTURNICZA PODRÓŻ JANA ŁASKIEGO

W historii stosunków kulturalnych polsko-angielskich XVI-go wieku nie brak także momentów zagadkowych, tajemniczych, graniczących z awanturniczością. Do takich należy wyprawa Olbrachta Łaskiego z roku 1583.

Cele tej podróży są dość rozbieżnie tłumaczone przez historyków polskich. Niektórzy historycy twierdzą, że Łaski wyprawił się do Anglii w misji politycznej dla sparaliżowania zabiegów posła carskiego Pisemskiego zmierzających do ustalenia ścisłego związku Moskwy z Anglią i uzyskania dla Polski wpływu na angielskie wyprawy handlowe do Archangielska. Według innych badaczy wyjazd Łaskiego miał charakter czysto prywatny. Łaski mając silnie rozbudzone zainteresowania podróżnicze lubił bywać w obcych stolicach, wywarł doskonałe wrażenie w Rzymie. Zdolnościami reprezentacyjnymi olśnił i podbił otoczenie królowej Elżbiety. Nikogo z obcych w tym okresie tak szumnie nie przyjmowano. Szczególnie Oxford wysilił się na wielkie 4-ro dniowe przyjęcie, które pochłonęło ogromną sumę 277 funtów, największe bankiety były w kolegiach All Souls i Magdalene, Łaskiemu ofiarowano ozdobny egzemplarz biblii, towarzyszył mu kwiat arystokracji angielskiej. Olbracht Łaski nie poszedł niestety w ślady swego stryja Jana Łaskiego i źle odpłacił się swoim gospodarzom. Nie mogąc zaspokoić wierzycieli, umknął pocichu z Anglii i na dokładkę zabrał ze sobą wybitnego alchemika Dee.

STOSUNKI POLSKO-ANGIELSKIE ZA PIERWSZEGO WAZY

Awanturnicza wyprawa Olbrachta Łaskiego była przelotnym jednak epizodem w rozwoju pogłębiających się co raz bardziej stosunków politycznych i handlowych, wiążących się ze sferą oddziaływań Zamojskiego. Zwycięstwo Zamojskiego i wybór dynastii szwedzkiej przyjęte zostało w Anglii bardzo dobrze. To też pierwsze lata panowania Zygmunta III są przedłużeniem przyjaznych stosunków, wytworzonych za Batorego. Im jednak bardziej Zygmunt III przechylał się na rzecz Habsburgów i Hiszpanii, tym bardziej rosła niechęć Anglii ku niemu. Zaczynają się mnożyć żadrażnienia. Na porządku dziennym są konflikty handlowe, w 1597 poselstwo Pawła Działyńskiego zostaje potraktowane upokarzająco w Greenwich. Ale obie strony starają się łagodzić te zadrażnienia. Wysłany w takiej misji do Polski wybitny dyplomata angielski w 1598 r. George Carew starał się przede wszystkim uregulować ciężką sytuację angielskiej kompanii handlowej w Elblągu, jak w ogóle handlu angielskiego w Polsce, był w Gdańsku, Elblągu, pozostawiając w wyniku swej podróży bystry i ciekawy opis stosunków polskich.

Wstąpienie na tron Jakuba I przynosi polepszenie stosunków między dworem angielskim i polskim. Jakub I daleki od uprzedzeń Elżbiety, obcy jej programowi protestanckiemu, odnosił się życzliwie do Zygmunta III, ale równocześnie w zgodzie z zasadniczą i stałą linią polityki angielskiej stale podtrzymywał kontakt z Zamojskim. Korespondencja Jakuba I z Polską bardzo żywa w latach 1603 do 1604 odnosi się przeważnie do interesów kupców angielskich w Polsce, dla ich obrony zjawia się w Polsce z ramienia króla William Bruce.

Jak widzieliśmy, w wieku XVI-ym ilość Polaków odwiedzających Anglię stale wzrastała. Równocześnie jednak, choć znacznie rzadziej, i Anglicy zaglądali do Polski. Powstaje teraz pytanie: jak w świadomości angielskiej zarysowywała się Polska wieków średnich i XVI-go stulecia, jakie wrażenia wynosili z dalekiego, całkiem im obcego kraju. Odpowiedź na to pytanie dają nam angielskie opisy Polski.

TRUDNE I OPACZNE POCZĄTKI ANGIELSKIEJ WIEDZY O POLSCE

Polska wieków średnich—jeśli sądzić na podstawie tych opisów—znana była w Anglii bardzo mało i niedokładnie. Nie zachował się z tych czasów żaden opis Polski, któryby był oparty na osobistych spostrzeżeniach. Nawet jeszcze w pierwszej połowie XVI-go wieku wyobrażali sobie Anlicy Polskę bardzo niejasno, czego jaskrawym dowodem jest książeczka Andrew Borde'a z r. 1542. Polska w świetle jego wywodów żyje na poziomie niesłychanie prymitywnym. Wyobraża on sobie stosunki w Polsce XVI-go wieku tak, jak by była to Polska, niemal tuż po przyjęciu chrześcijaństwa. Nie wiadomo na podstawie jakich informacji urobił on sobie zgoła fałszywy obraz zarówno o charakterze Polaków, jak i ich mowie. Polacy, wedle niego, to naród pokojowy, który nie lubi wojny, woli siedzieć cicho, nie ryzykować,—mowa polska zaś jest zepsutą niemczyzną.

ROSNĄCA ZNAJOMOŚĆ POLSKI I POLAKÓW W WIEKU XVI-YM

Taki fałszywy osąd stosunków polskich musiał jednak w ciągu XVI-go wieku ustępować głębszej znajomości, w miarę jak zacieśniały się wzajemne stosunki handlowe, w miarę jak co raz więcej Szkotów przybywało do Polski, mając tu sposobność wyrabiania sobie samodzielnego sądu na podstawie bezpośredniej obserwacji. Także podróże i studia Anglików na kontynencie umożliwiały zetknięcie się ze studentami polskimi, którzy w tym czasie masowo studiowali w uniwersytetach szwajcarskich francuskich i niemieckich. Wtedy Anglicy naocznie stwierdzali, że ich dawne sądy o prymitywiźmie kulturalnym Polski polegały na nieporozumieniu lub nieznajomości rzeczy, przekonywali się, że studenci polscy w niczym nie odbiegają od swych kolegów z zachodniej Europy. Tak n.p. Stephane Powle zetknął się w r. 1581 na studiach w Bazylei i Strassbourgu z braćmi Gorayskimi, z którymi się serdecznie zaprzyjaźnił. Tego rodzaju zetknięcia, mnożące się niewątpliwie w XVI-ym wieku musiały rozproszyć wiele niejasności i przyczyniać się do pogłębienia znajomości Polski w Anglii.

TRZEŹWOŚĆ I KRYTYCYZM ANGLIKÓW W OCENIE ŻYCIA POLSKIEGO

Mnożą się też z końcem XVI-go wieku wzmianki i ustępy o Polsce w angielskich opisach geograficznych świata. Nie można odmówić niektórym z tych opisów bystrości w podpatrzeniu charakterystycznych cech życia polskiego. Jakżeż trafnie ujmował autor jednego z takich opisów sytuację wewnętrzną Polski. Rozmiłowany w porównawczym charakteryzowaniu narodów pisał on: "Któż bardziej podległy, niż Niemcy? Bardziej swawolny niż Polak? Który król bardziej samowładny od angielskiego? Który bardziej warunkami skrępowany od polskiego?"

W tych relacjach angielskich o Polsce co raz silniej zaznacza się punkt widzenia handlowy. Anglik dziwi się słusznie, że "Polska nie posiada wiekszej obfitości pieniędzy. Wobec tego zatem, że kraj ten nie wytwarza towarów, miasta nie uprawiają handlu, ani ludność przemysłu, że z drugiej strony szlachta, dumna i rozrzutna w wydatkach, zużywa na jadło i uczty więcej niż ma, a z obcych krajów sprowadza przyprawy (na korzenie wydaje więcej, niż którykolwiek naród), wina i większość jedwabiu, tudzież sukna wełnianego, musi kraj ten cierpieć brak złota i srebra."

Autor drugiego opisu świata interesując się głównie stosunkami handlowymi Polski zwraca uwagę jedynie niemal na większe miasta. Przy Krakowie notuje on takie charakterystyczne spostrzeżenie; "Szkoci osiągnęli tu więcej przez domokrąstwo, aniżeli przez kupiectwo, obwożąc ruchomy sklep na grzbiecie końskim od miasta do miasta." Inny z autorów angielskich tak charakteryzuje stosunki polskie: "Lud jest dobrym żołnierzem, szlachta wolna, chłopi niewolnikami; są dumni i gwałtowni, wybredni w jedzeniu, kosztowni w ubiorze, kobiety niezbyt piękne, raczej sprytne niż wymowne. Króla obierają stany generalne, które przeważnie wybierają wojownika; po koronacji szlachta odnosi się doń tak poufale, jakby był ich bratem, jego zarządzenia uznają najwyżej przez trzy dni."

Nie można tym sarkastycznym nieco spostrzeżeniom odmówić słuszności. Wady ustrojowe Polski dostrzegał angielski obserwator lepiej, aniżeli bezkrytyczny tłum szlachecki pogrążony w ślepocie politycznej, wyobrażający sobie naiwnie, że ustrój Rzeczypospolitej jest najlepszy pod słońcem.

Ten sam krytycyzm w ocenie wewnętrznych stosunków polskich znamionuje najobszerniejszą relację z 1598 r. wnikającą szczegółowo w różne przejawy życia polskiego. Autorstwo tej relacji jest sporne. Przypisywana jest ona bądź dyplomacie G. Carew, bądź też przyjacielowi Zamoyskiego W. Bruce. Może innym razem na łamach "Polski Walczącej" omówię ją obszerniej.

Elekcja Władysława IV wywołała relację w formie listu nieznanego towarzysza posła angielskiego Franciszka Gordona z podróży do Warszawy. Czytając jego cierpkie słowa o Warszawie, mamy chwilami wrażenie, że kryła się w nich szczypta zarozumiałości wyspiarza, który z lekceważeniem patrzył na kontynent. "Warszawa—pisał on—jest jednym z najbrudniejszych miast, jakie w życiu zwiedziłem, można ją porównać chyba tylko do dzielnicy St. Giles w Londynie, bo tam nic nie ma prócz brudu. Budynki są ubogie, a zamek królewski nie tak porządny, jak domy kupców w Londynie." Obserwatora angielskiego niemile uderzała pycha szlachty, raziło go rozwielmożnione pijaństwo i przekupstwo.

ANGLIK, KTÓRY MÓWIŁ PO LWOWSKU. . .

Za panowania Jana Kazimierza odbył po Polsce podróż od Mołdawii po Kaszuby Robert Bargrave, którego ojciec był wybitną osobistością wśród kleru anglikańskiego. Poznał on na podstawie własnych obserwacji duży szmat Polski, jadąc przez Jazłowiec, Buczacz, Brzeżany, Lwów, Zamość, Bełżyce, Kozienice, Gostynin, Toruń, Grudziądz i Gdańsk. Zainteresował się sprawą żydowską w Polsce. Raziło go osobne sądownictwo żydowskie oddzielające Żydów od Polaków. Bargrave starał się spisać nazwiska miejscowości tak, jak je słyszał, co przy pisowni angielskiej dawało zabawne nazwy. Buczacz w jego ujęciu to—Budgehaits, Lwów—to Welwowi. Ta ostatnia nazwa jakże swoiście brzmi nam Lwowianom, przecież tak naśmiewali się z naszej wymowy różni "warszawiści" i "krakauerzy."

Wszystkie te angielskie opisy Polski dowodzą, że czas i wzajemne zbliżenie poprzez studia, podróże i kontakty handlowe co raz bardziej usuwały dawne niezrozumienie się wzajemne, w miarę rozwoju stosunków historycznych węzły stawały się co raz silniejsze. Ze zdwojoną znów siłą miały one wystąpić w w. XVII—ym w dziedzinie życia religijnego.

Adam Ordęga

* Por. Nr. 25 "Polski Walczącej."

F A J K I

Gawęda

Kiedyś, gdy będę zgrzybiały (jeśli dożyję tych czasów),
to gdzieś, w oddali od miasta i od ludzkiego hałasu,
zasiądę może z wnukami w takim niewielkim cottage'u,
co będzie mi przypominał te na angielskich wybrzeżach.
To będzie dworek bielutki—w Polsce, bo gdzież ma być indziej?—
Siądzie przy żarze kominka z fajką zgarbiony asindziej
i zacznie sobie gawędzić, do rzeczy czy tam od rzeczy,
bo tak to bywa na starość: jedno drugiemu zaprzecza.

—Skąd jest ta fajka, dziaduniu?
—O, moje dzieci, ta fajka
po tylu krajach błądziła, że to wygląda na bajkę:
gdym z generałem Sikorskim wędrował owej jesieni
strasznej, okropnej, koszmarnej—ze Lwowa w ognia płomieniach,
ona, ta fajka staruszka, w kieszeni mojej sterczała,
potem państw obcych zwiedziła coś pół tuzina bez mała.
Była w Wołoszy, w Italii, jechała aż do Paryża,
pykała dymem w pogwarkach gdzieś na bretońskim menhirze,
widziała pułki rosnące, rozbrzmiałe starą piosenką,
i wodza, co im sztandary rozdawał własną swą ręką. . . .

—A druga, ta osmolona?
—Tę drugą dał mi, kochani,
druh jeden, Francuz, gdy Francja też się znalazła w otchłani.
"Masz ją—rzekł—przyjacielu. . . Gdy będziesz od nas z daleka,
pamiętaj o tym, że Francja tę ciężką klęskę przeczeka
i znowu wstanie do słońca, wolności kraj i przyjaźni.
Masz to, pal, i wspominaj—i bij się od nas odważniej. . ."
Francuz nie dożył, nie przeżył. . . . Widzicie: fajka została. . . .

—Ale ta jeszcze fajeczka, trzecia fajeczka—ta mała?

O, tu się pewno uśmiechnę, może i wąsa przygładzę
i będę milczał. . . . Wspomnienia jakieś mnie wezmą we władzę.
nie zechcę mówić, aż wnuczka, sprytna, jak każda dziewczyna,
szepnie, mrugając do braci:—Dziadzio romanse wspomina. . . .
Ja się ożywię, odkaszlnę, a potem zacznę z zapałem
mówić o Szkocji, o wzgórzach, które w tej Szkocji widziałem,
o łąkach z owiec stadami, co leżą w trawie pokotem,
kto wie?—a nuż się roztkliwię i nad wilgotnym namiotem?
Bo tak to bywa na świecie, że póki człowiek nie zabit,
a poetą "forsan et haec—olim meminisse iuvabit."
I to jest też najważniejsze, że, jak wędrowne jaskółki,
znowu tam polskie chorągwie szukały z bronią przytułku.

Lecz tu mi przerwie mój wnuczek najstarszy, ten z szóstej klasy,
i zacznie ze mną dyskusję surową o moich czasach:
o każdym akcie i fakcie, wymodeluje osoby,
jak by je znał i widywał. . . . Zamilknę wtedy—cóż zrobię?
Tak to powstaje historia: od kontrowersyj do tezy,
aż kiedyś w proch ją obali namiętność do egzegezy.
Dam, dam się chłopcu wygadać, gdy już zaczyna z tej beczki—
tylko się znowu uśmiechnę cichutko do mej fajeczki,
bo ta fajeczka maleńka wciąż coś czaruje z pamięci,
i to całuje wspomnieniem, to uraduje, to smęci. . . .

A gdy tak gwarzyć będziemy, za oknem zamieć śnieżysta
zacznie się ścielić po ziemi, wciąż nieodmienna i czysta.
Zamiecie stare krwi ślady, pożarów rany zakryje,
i groby tych, co pomarli, i miejsca dla tych, co żyją.

Antoni Bogusławski

SZKOCJA I SZKOCI

Gdy w roku 1937-ym sprowadziłem się do Edynburga pewnego dnia gospodyni przyniosła mi do pokoju list zaadresowany: Edinburgh, Anglia, i jeszcze w nawiasię England. Zacna gospodyni była oburzona nieznajomością geografii u moich przyjaciół. "To zupełnie tak samo," powiedziała, "jakby ktoś zaadresował do Was: Warszawa, Rosja." Bardzo się zawstydziłem i natychmiast napisałem do wszystkich znajomych i krewnych w kraju, aby na przyszłość adresowali: Edinburgh, Szkocja, albo Wielka Brytania. Bo w Polsce ludzie nie zdawali sobie jakoś sprawy, że Zjednoczone Królestwo składa się z szeregu odrębnych krajów, a więc z Anglii z Walią, północnej Irlandii i wyspy Man oraz Szkocji.

Przy czym Szkocja była samodzielnym królestwem aż do roku 1707, a do tego czasu więcej ją łączyło z kontynentem europejskim, niż z Anglią. W roku 1707 nastąpiło ostateczne zjednoczenie obu państw, które od zarania dziejów prowadziły ze sobą niemal bez ustanku wojny i między którymi istniała w owym czasie głęboka nienawiść. Ale wzajemne niesnaski powoli zaczęły zanikać i dzisiaj można je odnaleść tylko w formie dobrodusznego przekomarzania się Anglików i Szkotów. Nawiasem mówiąc kawały o Szkotach są układane przez Szkotów, a nie przez Anglików, ale Anglicy wyśmiewają się z wymowy i zwyczajów szkockich, podczas gdy Szkoci zarzucają Anglikom brak sprytu i nazywają Anglię "małym kraikiem za południową granicą."

Szkoci różnią się od Anglików rasą, językiem, wyznaniem, tradycją, poglądami, kraj ich posiada osobną administrację i osobne prawa.

Szkocję zamieszkują dwie grupy narodowościowe: *Highlanders*, czyli górale oraz *Lowlanders*, albo mieszkańcy nizin. *Highlanders są pochodzenia celtyckiego* i ich językiem ojczystym jest zasadniczo *Gaelic* (wym. "galik"), ale mowa ta, zbliżona do irlandzkiej i walijskiej, wymiera i posługują się nią teraz jedynie mieszkańcy wysp zachodnio-szkockich oraz północno-zachodniego wybrzeża. Zachowała się ona za to w nazwach geograficznych oraz w nazwiskach. Wszystkie nazwiska zaczynające się na "*Mac*," albo "*Mc*" są pochodzenia celtyckiego, czyli *Gaelic*, *Mac* znaczy: syn. Weźmy na przykład nazwisko Macleod (czytaj Makladd); *leod* znaczy w języku gaelickim "brzydki człowiek," czyli Macleod to "syn brzydkiego człowieka"; Macmichael—to syn Michała, itp.

Wśród górali panował stosunkowo do niedawna system rodowy: poszczególne rody, czyli "clany," zamieszkiwały pewne okolice, które uważały za swoją własność i odmawiały członkom innych klanów prawa zamieszkiwania na swoim terytorium. Wynikiem takiego ustroju były ciągłe walki między klanami, które ustały właściwie dopiero na początku ubiegłego stulecia. Słynną była bitwa pod Glencoe, między rodziną Fraser'ów i Macdonald'ów: tylko sześć osób uszło z tej bitwy z życiem. Na czele każdego klanu stoi dziedziczny wódz, czyli "*chief of the clan*," i od czasu do czasu odbywają się kongresy wszystkich członków klanu, na które to uroczystości przyjeżdżają Szkoci z całego imperium brytyjskiego. W Braemar zjazd klanów odbywa się co roku w obecności króla. Każda rodzina, czyli klan ma własny herb, hasło bojowe i . . . kratkę. Prawo noszenia specyficznej kratki na spódniczce, czyli "*kilt*," lub na szaliku czy krawacie przysługuje wyłącznie członkom jednej rodziny, przy czym prawo to dziedziczy się zarówno po kądzieli, jak i po mieczu. Teoretycznie szef klanu może wytoczyć proces osobie korzystającej bezprawnie z kratki danego klanu: kara za takie wykroczenie wynosi £8 8s. 10d. . . .

Lowlanders, czyli mieszkańcy nizin, mieli ten sam ustrój rodowy, co i górale. Są oni szczepem germańskim, zbliżonym do Anglików i język ich *Broad-Scots* nie różni się od angielskiego bardziej, niż czeski od polskiego, podczas gdy między angielskim a *Gaelic* nie ma najmniejszego podobieństwa. Pomimo to *Lowlanders* są równie dobrymi Szkotami, jak *Highlanders* i już w średniowieczu byli z nimi złączeni politycznie i organizowali wspólne wyprawy przeciw Anglii.

Dzisiaj różnice między góralami i mieszkańcami nizin zatarły się, i wszyscy Szkoci, z nielicznymi wyjątkami, mówią tym samym językiem, który od angielskiego różni się głównie wymową i poszczególnymi wyrażeniami. Istnieją również drobne dzielnicowe różnice w wymowie.

Większość Szkotów jest wyznania prezbiteriańskiego, które jest odmianą kalwinizmu. Kościół szkocki "*Church of Scotland*" jest odrębną organizacją nie mającą nic wspólnego z kościołem anglikańskim. W kościele tym nie ma biskupów, a na jego czele stoi t. zw. "*Moderator*," czyli pastor obierany co roku na zjeździe pastorów (t. zw. "*ministers*") szkockich w Edynburgu. Członkowie poszczególnych parafii wybierają swojego "ministra," czyli pastora. Odbywa się to jak konkurs: szereg młodych absolwentów wydziału teologicznego uniwersytetu edynburskiego odprawia nabożeństwo i wygłasza kazanie, a potym mieszkańcy danej parafii wybierają na "ministra" tego, który im najbardziej przypadł do gustu. Katolików jest w Szkocji sporo, a większość ich jest pochodzenia irlandzkiego.

Banki powstały w Szkocji bardzo dawno, a ponieważ posiadają one od kilkuset lat oddziały w najmniejszych nawet wioskach—przyczyniły się do rozwoju oszczędności. Oszczędność szkocka jest przysłowiowa, ale twierdzenie, że Szkoci są skąpi jest niesłuszne. Oszczędzają oni rzeczywiście na drobnych wydatkach, ale kiedy chodzi o zabawę lub o dobroczynność—wówczas są niezwykle hojni. Przysłowie szkockie uczy: "Pilnujcie pensów, a funty dadzą sobie same radę."

Pomimo że Szkotów jest wszystkiego 4,5 miliona, a Anglików około 40-u milionów, większość przedsiębiorstw brytyjskich jest w ręku Szkotów, najwybitniejsi inżynierowie, lekarze, bankierzy w Wielkiej Brytanii—to przeważnie Szkoci. Wice-król Indii, premier Kanady, premier Australii, premier Nowej Zelandii i znaczna część gubernatorów kolonialnych—to Szkoci. Jest to zatem naród niezwykle zdolny, dzięki czemu nie dał się opanować przez silniejszego sąsiada—przeciwnie odgrywa w Zjednoczonym Królestwie rolę niewspółmiernie wielką. Pewien Szkot z Glasgow pojechał kiedyś do Londynu za interesami; po powrocie żona pyta go, jak mu się podobali Anglicy; "Nie wiem, gdyż zupełnie się z nimi nie zetknąłem," odparł, "miałem bowiem wyłącznie do czynienia z kupcami, bankierami i urzędnikami państwowymi." Młodzi Szkoci opuszczają często swoją ubogą ojczyznę i wyjeżdżają do Anglii, Ameryki lub do kolonii, gdzie z gazeciarzy lub chłopców do posyłek wybijają się na milionerów i wielkich polityków. Fortuny swoje przeznaczają zazwyczaj na cele dobroczynne, lub naukowe i oświatowe.

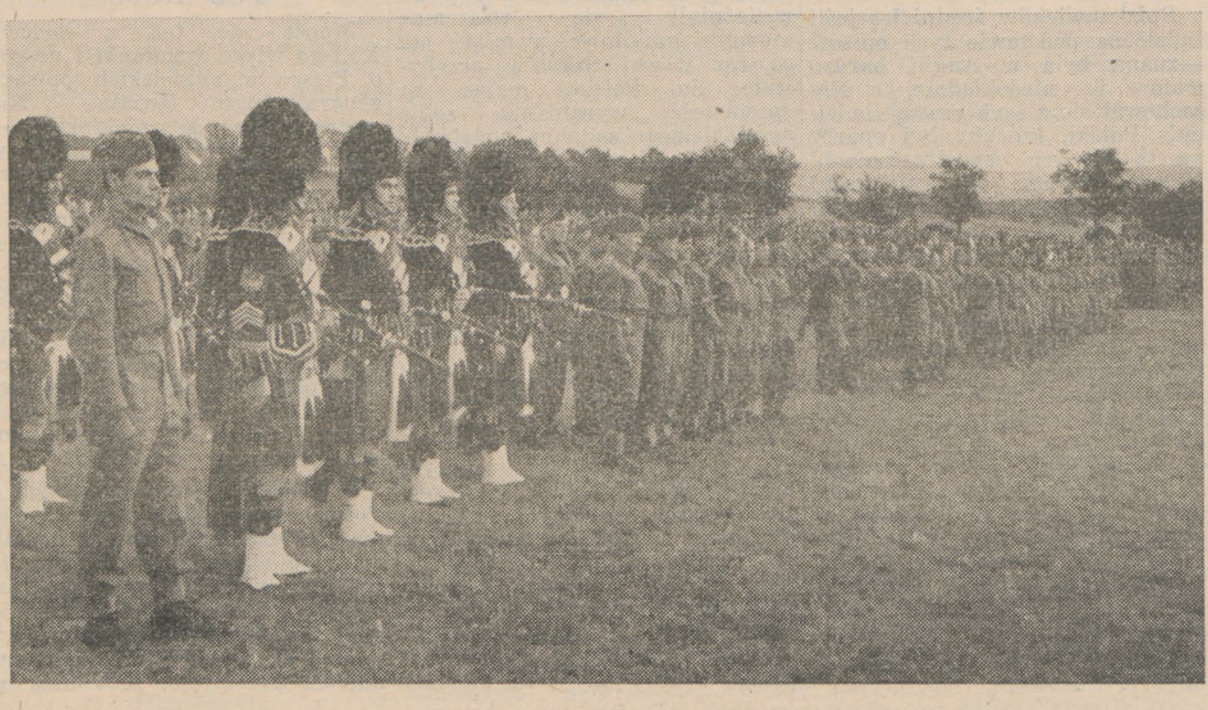
Po trzyletnim pobycie w Szkocji doszedłem do przekonania, iż ten kraj ma tylko trzy cechy ujemne, a to mianowicie dość przykry klimat, niezbyt smaczne jedzenie i nudne niedziele i święta. O ile w zachodniej Szkocji nadmiernie często pada deszcz i jest bardzo wilgotno, o tyle na wschodzie wieją wiatry tak silne, o jakich sobie w Polsce nawet nie wyobrażałem, przy czym w Edynburgu jest przynajmniej raz na tydzień huragan. Co prawda nie ma nigdy wielkich mrozów, ale w rezultacie zimą jest tak samo zimno, jak na kontynencie.

Kuchnia szkocka odznacza się brakiem smaku i jakichkolwiek przypraw. Wszystko jest wygotowane i albo jest suche, albo pływa w wodzie. Narodowa potrawa to "Haggis." Wygląda to jak kasza gryczana w worku i nikt dokładnie nie wie z czego jest zrobione. Podobno z żołądka owcy. Na śniadanie, z odpowiednim nabożeństwem bo stojący, spożywa się "porridge," czyli owsiankę, która jest smaczna z cukrem, ale powinno się ją jeść z solą, a wtedy jest obrzydliwa. Nie potrzebuję tu pisać o narodowym napoju whisky, bo jest dobrze znany na kontynencie i nie wiem czemu o nim wspominam, opisując ujemne strony życia w Szkocji. . . .

Najtrudniejszym dniem do przeżycia w tygodniu szkockim—jest niedziela. Kina i teatry są nieczynne, poza golfem nie wolno uprawiać żadnych sportów. Można najwyżej pójść na spacer, ale pogoda zazwyczaj na to nie pozwala. Pobożni Szkoci uważają, że grzech bawić się w niedzielę, i że należy cały dzień spędzić na modlitwie i rozmyślaniach.

Tym nie mniej jednak życie wśród Szkotów jest nad zwyczaj przyjemne, są to ludzie pogodni i bardzo dobrzy, a jako przyjaciele wytrzymują najcięższe próby. Ich niesłychanie życzliwy i gościnny stosunek do Polaków, którzy tak niespodziewanie zjawili się w ich kraju jest najlepszym dowodem przyjaźni, jaką nas obdarzają.

Leszek Meyer



Kobziarze szkoccy obok żołnierzy polskich

Anglicy opiekują się wojskiem polskim

Bohaterstwem swoim, wspaniałym zachowaniem się wobec najeźdźców zdobyli Polacy podziw, szacunek i miłość społeczeństwa angielskiego. Między innymi okazuje się to i w tym, że mamy tu co raz więcej przyjaciół, którzy żołnierzom naszym przychodzą z pomocą, starają się im ułatwić i umilić życie. Wiele Pań w Szkocji i Anglii nie szczędzi ani trudów ani czasu, ani pieniędzy, ażeby żołnierzy naszych otoczyć opieką, tak żeby jak najmniej czuli, że są zdala od swoich domów i bliskich.

Jedną z osób najbardziej nam okczujących serce, i nie szczędzącą trudów jest Lady Warrender, która stworzyła komitet pomocy naszemu żołnierzowi pod nazwą: "Poland's Armed Forces Comforts Fund," który pod jej przewodnictwem już we Francji troszczył się o naszego żołnierza. Lady Warrender przyjeżdżała wiele razy do Francji. Teraz zaś objeżdża często obozy polskie w Szkocji, pilnując działalności swego komitetu, odwiedzając naszych żołnierzy, w obozach i szpitalach.

Oto liczba darów ofiarowanych naszej armii:

WYKAZ PRZEDMIOTÓW ROZDANYCH W SZKOCJI ODDZIAŁOM W.P. PRZYBYŁYM Z FRANCJI.

3,400 par skarpetek
450 koszul
50 przenośnych aparatów radiowych
6 gramofonów z płytami
50 gier rzucania ostrzem /*dart-boards*/
50 piłek nożnych
40 kompletów do gry w football /czerwony sweter, krótkie białe spodnie, czerwone pończochy, para butów/
100 instrumentów muzycznych /w tym banjo, gitary, harmonie, i ustne harmonijki/
500 krucyfiksów i różańców
Wielkie ilości czekolady, mydła, brzytew, papierosów, kart do grania, szachów, warcabów i t.p.
Pewna ilość ręczników, bielizny, chustek do nosa.

WYSŁANO DO OBOZU NR. 8 w SZKOCJI

40 kompletów gry *Tenniquoit* /tenis krążkowy/
12 piłek ręcznych i przyrządów do gry w "*volley ball*"
12 gier "*basket ball*" z przyrządami
8 piłek nożnych
50 gier /szachy, warcaby, karty do gry/
10 rakiet tenisowych.

WYSŁANO DO OBOZU NR. 5 w SZKOCJI

Przyrządy do szermierki /4 szpady, 4 pary rękawic, 4 maski/
6 pełnych mosiężnych orkiestr wojskowych /ogółem 128 instrumentów i 25 podstawek do nut/
1 pełną orkiestrę taneczną
5 ambulansów /5 noszy i 3 miejsca siedzące w każdym/
1 kantynę ruchomą
1 samochód ciężarowy.

ZAPASY ZNAJDUJĄCE SIĘ W LONDYNIE, PRZYGOTOWANE DO ROZDAWNICTWA ZIMOWEGO.

8,000 skarpetek
3,000 swetrów
4,000 szalików
3,000 rękawic
1,500 wełnianych hełmów
2,000 koców
600 koszul
500 sztuk bielizny
10,000 opatrunków
2,000 mydeł

Powyższy spis nie wyszczególnia 58.000 przedmiotów (mydeł, brzytew, fajek i.t.d) rozdanych żołnierzom polskim we Francji na Nowy Rok, osobistych darów Lady Warrender (50 harmonijek, 4 odbiorników radiowych, 25.000 dzienniczków) oraz ruchomej kantyny, która z wielką ilością towaru została w Coëtquidan.

ŚNI SIE POLSKA . . .

"Śpij kolego . . . niech się Polska przyśni tobie!"

Śni mi się ona prawie co noc. Śnią mi się pokrajane pasma pól, zielone oziminą, żółte zbożem, różowe koniczyną, złote łubinem, tak żywo, że zdaje mi się czasem przez sen, że zalatuje zapach od łąk pokrytych kwieciem. Śnią mi się czasem śpiewy z Kościoła, "Święty Boże, Święty Mocny!" Śnią się znajome bliskie twarze tych, o których nie wiem czy żyją, gdzie się znajdują.

Gdy się przebudzę przychodzi świadomość rzeczywistości, świadomość pobytu na ziemi obcej, dalekiej, choć tak życzliwej i bliskiej wspólnym celem. Ze świadomością rzeczywistości przychodzi świadomość, że żyję, że jestem Polakiem, że mam obowiązek jeden i jeden cel, cel wspólny i jedyny wszystkim Polakom.

Każdy Polak bowiem wie, że musi dziś wszystko z siebie dać, swój rozum, swoje zdolności, swój majątek, zdrowie i życie, ażeby uwolnić kraj cały od wrogów i najeźdźców. Każdy Polak wiedzieć powinien, że tu—z dala od kraju, na ziemi gdzie jesteśmy w gościnie, gdzie nas zaledwie garstka, nie wolno nam mieć innej polityki, jak dążenie wszystkimi siłami do pobicia wroga, że mamy do tego celu dążyć w jedności, w zgodzie, w miłości i życzliwości jeden dla drugiego, gotowi na najwyższe poświęcenia.

Legitymacją do powrotu z podniesionym czołem do kraju będzie albo odwaga wobec wroga, albo współpraca na innym polu, z zupełnym wyzbyciem się myśli o sobie.

Jaką Polskę pragnęlibyśmy mieć po uwolnieniu jej od wroga? Niewątpliwie wielką i potężną, taką, która by była dobrą matką dla swoich dzieci i dla tych, którzy pod jej skrzydła opiekuńcze się dostaną. Polskę, którą będą rządzić i kierować tacy ludzie, co mieć będą poczucie, że są bez względu na stanowisko jakie zajmują, sługami swoich współobywateli, świadomość, że zajmować kierownicze stanowiska jest trudnym, ciężkim i badzo odpowiedzialnym obowiązkiem, a nie sposobnością do użycia i przyjemnością władania. Pragnęlibyśmy mieć Polskę sprawiedliwą, która by każdemu ze swych synów dała równe możliwości życiowe, a wynikłe różnice, aby były skutkiem różnych zdolności, czy też pracowitości jednostek. Sprawiedliwość bowiem nie jest równością, a równość nie jest sprawiedliwością. W Polsce takiej byłaby stale ceniona i uznawana praca dla niej. Obywatel miłujący swój kraj, chcący pracować i pracujący dla niego byłby zawsze ceniony i uznawany, bez względu na to do jakiego stronnictwa należy.

Chcemy mieć Polskę chrześcijańską, i katolicką, w której by panowała miłość braterska. Polska nie byłaby Polską, gdyby w jej kościołach dzwony milczały, gdyby w wiosenny wieczór w czasie Rezurekcji nie płynął z kościołów zmieszany z dźwiękiem organów śpiew: "Wesoły nam dziś dzień nastał" ku polom wilgotnym i lasom, pachnącym wiosenną ziemią i kwieciem, które pierwsze z pod śniegu wyrosło, po Polsce całej jak długa i szeroka. Nie byłaby Polska Polską gdyby w dnie Krzyżowe nie szedł lud wśród łanów dojrzewającego żyta, z łopocącymi chorągwiami bractw ku Męce Pańskiej w polu, śpiewem błagając o urodzaj. A także co to by była za Polska, gdyby nie wolno było w noc Narodzin Chrystusowych pójść po skrzypiącym śniegu do Kościoła na Pasterkę i ze wzruszeniem zaśpiewać "Bóg się rodzi, Moc truchleje, Pan Niebiosów obnażony."

Tak, Bóg sprawiedliwy i miłosierny da nam Polskę i potężną i wielką. Da nam ją sprawiedliwą i Polskę bojaźni Bożej, ale my musimy wyzbyć się zawiści i swarów, sobkostwa i tchórzliwości i tylko z wiarą, miłością i odwagą dążyć ku tej gwieździe, która tak jak ongi nad Betlejem, tak teraz dla nas nad Polską świeci i wskazuje ku Niej drogę, bo:

"Błogosławieni, którzy w czasie gromów nie utracili równowagi ducha. Którym na widok spustoszeń i złomów nie płynie z piersi pieśń rozpaczy głucha;

Którzy wśród nocy nieprzebytych cieni nie tracą wiary w blask rannych promieni;

Błogosławieni!"

Ludomir Cieński

PRZYJACIELE ŻOŁNIERZY

Zofia Sikorska, kierowniczka działu świetlic Polskiego Czerwonego Krzyża (u góry na lewo)

Pułkownik H. P. Mitchell oficer łącznikowy Armii Brytyjskiej z Dowództwem Wojsk Polskich w Szkocji (u dołu na lewo)

Lady Warrender, założycielka i prezeska "Poland's Armed Forces Comforts Fund" (u góry na prawo)

Polskie Siostry Maltańskie (u dołu na prawo)

Rysował Feliks Topolski









Co myślą i piszą Polacy w Ameryce

Klęska Rzeczypospolitej spowodowała nową emigrację, przede wszystkim wojskową i polityczną. Emigracja ta, Rząd z Prezydentem Rzeczypospolitej na czele, Armja i Rada Narodowa, reprezentują na obczyźnie zawsze żywe Państwo polskie i pełnię jego praw międzynarodowych. Ale naród polski, polską myśl i serce polskie na równi z nową emigracją reprezentuje milionowa rzesza emigracji dawniejszej, posiadającej za sobą wielką tradycję przechowania polskości i pracy dla niej.

Wielka część tej "polonii zagranicznej" znalazła się wraz z Macierzą w niewoli rozbójniczych państw, niemieckiego i sowieckiego, które zawładnęły Europą. Przede wszystkim w niewoli takiej znalazła się silna i liczna emigracja polska we Francji, która przez pierwsze miesiące wojny była głównym źródłem uzupełnienia wojska polskiego i o której organizację w dużym stopniu oparło się nowe wychodźstwo, z chwilą gdy los je rzucił do Francji. W niewoli również, zamykającej usta i każącej milczeć sercom, znalazły się tak wielkie odłamy starej emigracji p'skiej, jak Polacy zamieszkali w Niemczech, Polacy belgijscy i holenderscy, a ostatnio także, ujarzmieni przez Sowiety, wraz z ludami, z których gościny korzystali, Polacy w krajach nadbałtyckich.

Natomiast wolna i niezależna w swoich wypowiedzeniach, pozostaje Polonia za oceanem. Jej głos ma dla wspólnej sprawy duże znaczenie, zwłaszcza głos Polonii w Stanach Zjednoczonych. Jej poglądy, ideje i myśli nie ograniczają się do lokalnych zagadnień wychodźczych, ale dotykają zagadnień ogólno-polskich, zagadnień Rzeczypospolitej.

Sadzę, iż poznanie poglądów naszych braci za oceanem ma szczególne znaczenie dla naszej emigracji *walczącej*. Przegląd prasy amerykańskiej odzwierciedli niewątpliwie wiele myśli budzących się w umysłach żołnierzy Rzeczypospolitej, w miarę stykania się ich z tym nowym, szerokim światem, jaki los im dał poznać. A nadto, pragnę wierzyć, że bliska jest ta chwila, kiedy młodzi Polacy za oceanem będą stanowili potężną rezerwę naszej Armii Narodowej. Dobrze jest więc znać mysli, dążenia i ideały tych przyszłych naszych kolegów w walce o Nową Polskę.

Emigrację polską pozaeuropejską stanowi przede wszystkim ogromna Polonia w Stanach Zjednoczonych. Polonia ta liczy ponad 4.000.000 członków i żyje od dawna własnym życiem organizacyjnym, można powiedzieć stwarza własną myśl polską, tylko częściowo dającą się wtłoczyć w ramy podziałów politycznych, czy światopoglądowych, jakie zwykliśmy byli stosować w kraju i jakie, może zbyt anachronicznie, stosujemy ciągle wśród szeregów emigracji wojennej. Nie mniej przywiązanie do Polski i do polskości jest wśród emigracji w Stanach Zjednoczonych żywe — nawet wśród tych, którzy zajmując coraz wyższe szczeble w życiu społeczeństwa amerykańskiego, używają już języka angielskiego. Polonia w Stanach Zjednoczonych rozporządza imponującą liczbą 9 wielkich dzienników i ponad 120 innych czasopism. Pisma te odzwierciedlają różnolite kierunki ideowe i prądy wśród niej nurtujące. Jednakże związek pism z ugrupowaniami politycznymi, o ile o takich można w ogóle wśród emigracji polskiej w Stanach mówić, jest mniej zależny niż to bywa w Europie. Wiele pism stanowi własność osób prywatnych, które stać na to aby w swych organach lansowały poglądy nie dające się wtłoczyć w żadne formułki. Inne pisma, nawet ściśle z danymi organizacjami związane, korzystają w dużej mierze z wolności redakcyjnej, która powoduje, że pisma te raczej urabiają opinię publiczną, niż ulegają ustalonym programom partyjnym. Rzecz naturalna, że pisma w Stanach starają się wyczuć dobrze prądy, jakie w sferach ich czytelników nurtują. Zanadto wielkie mają poczucie "Bussinesu," który ostatecznie w Stanach całych, a więc i wśród tamtejszej Polonii, zajmuje miejsce przodujące.

Nie cała prasa polska ze Stanów Zjednoczonych dociera obecnie, czasu wojny, do Londynu. Do najciekawszych, a zarazem najważniejszych dla poznania tego, co myślą nasi bracia w Stanach, należą wielkie dzienniki:

"Dziennik Związkowy"—wychodzący w Chicago i stanowiący organ Związku Narodowego Polskiego,

"Dziennik Chicagowski"—wychodzący również w Chicago,

"Nowy Świat"—wychodzący w Nowym Yorku,

"Dziennik Polski" wychodzący w Detroit,

"Dziennik dla Wszystkich"—wychodzący w Buffalo,

"Wiadomości Codzienne"—wychodzące w Cleveland,

"Kurier Codzienny" — wychodzący w Bostonie, oraz

"Nowiny Polskie" i "Kurier Polski"—wychodzące w Milwaukee a nadto tygodniki:

"Naród Polski"—wychodzący w Chicago i reprezentujący Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie,

"Głos Polek," wychodzący również w Chicago i będący organem Związku Polek, oraz wreszcie

"Pittsburczanin" — wychodzący w Pittsburgu.

Poza Stanami Zjednoczonymi, bardzo znaczna liczba Polaków, bo ponad 150 tys. zamieszkuje w Kanadzie. Polonia kanadyjska, uboższa i żyjąca życiem mniej bujnym niż Polonia w Stanach, ma też znacznie mniej pism. Ogółem wychodzą tam zaledwie 3 czasopisma. Z czasopism tych Redakcja nasza stale rozporządza przedewszystkiem "Czasem"—wielkim tygodnikiem ukazującym się w Winnipeg, i stanowiącym oficjalny organ Zjednoczenia Zrzeszeń polskich w Kanadzie. Po za tym dochodzi do Londynu "Gazeta Katolicka," wychodząca również w Winnipeg.

W Ameryce Południowej szczególną uwagę należy poświęcić prasie polskiej ukazującej się w Argentynie. Wychodzą tam, dla 80 tys. zaledwie polskich wychodźców, 2 dzienniki i 4 inne czasopisma. Pisma polskie w Argentynie przechowują do dziś światłą i postępową ideologję, zapoczątkowaną wśród tamtejszej polonii po powstaniu 63 roku. Otrzymujemy stale, niestety po 40 dniach od ukazania się, przede wszystkim "Codzienny Niezależny Kurier Polski w Argentynie."

Rzadziej i mniej regularnie dochodzą obecnie do nas czasopisma z Brazylii. Tamtejsza emigracja polska walczy z dużymi trudnościami organizacyjnymi i kulturalnymi, na skutek pewnych prądów totalitarnych w rządzie brazylijskim. Sporadycznie otrzymujemy "Gazetę Polską," "Lud," oraz "Prawdę Polską w Brazylii." Te trzy tygodniki stanowią całość prasy polskiej wśród 300 tysięcznej Polonii brazylijskiej.

Najbardziej odległymi i najpóźniej docierającymi do naszych rąk są dwa pisma polskie wychodzące w Azji. Są to "Echo Szanghaju," organ Polaków zamieszkałych w Chinach oraz "Tygodnik Polski w Charbinie" reprezuntujący Polonię mandżurską.

Pisma polskie za oceanem, których ogromny stos z ostatnich dwu miesięcy, aż do 15 sierpnia włącznie, dotarł nareszcie do nowej londyńskiej siedziby Światowego Związku Polaków, gorąco zajmują się przede wszystkim wycofaniem się naszym z Francji i nowymi losami Rządu Rzeczypospolitej i wojska. Łamy wszystkich dzienników przepełnione są opisami bohaterstwa 1 i 2 dywizji polskich, które nie uległy nawet po złożeniu broni przez Francuzów. Interesuje je również przebieg ewakuacji wojsk z Francji, które opisują drobiazgowo, zamieszczając nazwy statków polskich i angielskich użytych do wycofania. Numery z sierpnia pełne są szczegółów umowy Rządu polskiego z Rządem angielskim. Oczywiście wszystkie pisma polskie, bez wyjątku, zajmują stanowisko antyniemieckie i antysowieckie, wszystkie stanowią awangardę przyjaciół Wielkiej Brytanii wśród prasy amerykańskiej i wszystkie popierają bez zastrzeżeń przystąpienie Stanów do wojny, jak również najrychlejszą i najowocniejszą pomoc Ameryki dla Anglii.

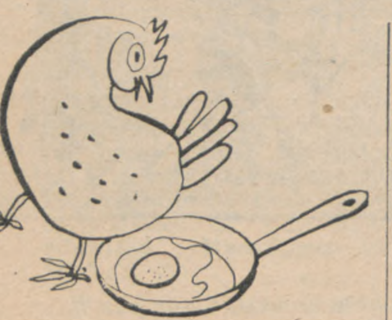
W sprawach wewnętrznej polityki polskiej, tak duże zdającej się mieć znaczenie wśród naszej emigracji wojennej, jeżeli sądzić choćby po ilości różnokierunkowych tygodników ukazujących się w Londynie,—pisma amerykańskie zachowują dużą powściągliwość. Zdają się rozumieć, że kraj przeżywa obecnie tak doniosłe wewnętrzne zmiany, iż zmianom tym na pewno towarzyszyć będzie całkowita rewizja "podziałów" wewnętrznych społeczeństwa. Nie omawiają też krytycznie poczynań obecnego Rządu Rzeczypospolitej, odnosząc się do niego z wielkim szacunkiem i pamiętając, *bez wyjątku*, że stanowi on wraz z Armią symbol Rzeczypospolitej. Nie mniej, zachowują swobodę słowa i zamieszczają niekiedy życzliwe głosy krytyki, które wobec braku głósow społeczeństwa z kraju, mogą być niejednokrotnie b. pożyteczne.

Wreszcie pisma polskie za oceanem poświęcają dużo miejsca wiadomościom z Polski okupowanej. Wobec neutralności Ameryki —rozporządzają one dość pokaźnym materjałem i zamieszczają wiele informacji b. ciekawych.

W przyszłości, w miarę napływu prasy polskiej z Ameryki, będziemy zamieszczali jej przegląd—starając się naszych czytelników zbliżyć z Polonią amerykańską, największym poza krajem skupieniem rodaków.

Jerzy Pomian

ABC angielsko-polskie



Kurnik—Pisząc o "Black-ou'tcie," wspomniałem o kurniku, obiecując powrócić do tego tematu. Nie jest to łatwe, gdyż na razie nie udało mi się zwiedzić żadnego pokaźniejszego kurnika. Zapewniono mnie jednak, że wszystkie angielskie kury zaabsorbowane są składaniem jaj do "ham and eggs"—pracując ze względu na wojnę w tempie przyśpieszonym i dając tym przykład innym dwunogim istotom, którym się zdaje, że pianie czy też krakanie wystarcza! Prawda, że herbaciarnie czy t.p. lokale publiczne też muszą zarobić.—Skoro wspominamy o ptakach, to dodajmy, że nazwanie (poufałe!) ukochanej "my duck" (moja kaczuszko) nie jest w języku angielskim przekąsem w rodzaju polskiego "gąska," czy też: "chodzi, jak kaczka," lecz istotnie tylko pieszczotą. Trzeba jednak dobrze znać język i osobę, by sobie na używanie tego rodzaju zwrotów pozwalać. Anglik swoją "dziewczynę" nazywa też niekiedy poufale: "my bird," co równoznaczne jest z francuskim "ma poule," i co w żargonie paryskim oznacza "dziewczynę" i nic więcej, ani mniej! Ale to są już subtelności językowe, przekraczające ramy naszego "*ABeCadła*."

Londyn.—Kto już po Londynie pochodził, ten uprzytomnił sobie ogrom tego miasta, największego na kuli ziemskiej, bo liczącego około 8,500,000 mieszkańców, a więc nawet więcej, niż Nowy Jork. Kto nie wierzy—może policzyć i porównać. Mowa tu o "Greater London" (= Wielki Londyn), którego powierzchnia wynosi około 700 mil kwadr. ang.—"Mały" Londyn obejmuje tylko 117 mil kwadr.; to tak zwane "County of London" z ludnością ponad 4 miliony. Skorośmy już zabrnęli w liczby, to dodajmy, że historyczna kolebka Londynu, City, dziś ośrodek banków i giełdy, staje się co noc wioską, liczącą tylko 11 tysięcy mieszkańców! Za to w dzień przebywa tu do miliona ludzi.

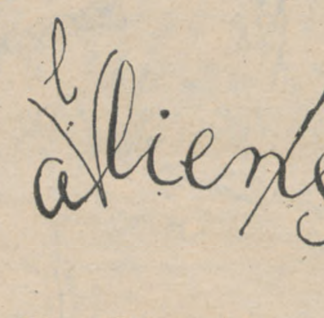


Takie to dziwne miasto ten Londyn, większe od niejednego państwa w Europie.—Same jego ulice ciągną się łącznie na ponad siedmiu tysięcach mil ang. Jeżeli się komuś nudzi, to może zacząć zwiedzać Londyn z zegarkiem w ręku i obliczyć po ilu latach dojdzie do "końca" Londynu. Lecz siedem tysięcy mil to około 11,000 kilometrów: prędzej dojdziemy do Wisły, a nawet chyba znacznie, znacznie dalej. . . .

Napiwek—po angielsku "tip." Sprawa mocno zawiła: kiedy należy zostawiać "tip," a kiedy nie? By sumiennie na to pytanie odpowiedzieć, przeprowadziłem ankietę zbierając opinie czynników bardzo miarodajnych. Wnioski były następujące: 1) że napiwek należy dawać w każdej okazji; 2) że nie należy go dawać nigdy; 3) że nie należy dawać wtedy, kiedy to jest zakazane. Jak widzimy, wnioski te niezupełnie się pokrywają. Praktyka bowiem wykazała, że: a) lepiej nie dać kelnerowi nic, niż mu podać do ręki-należy podsuwać pod krawędź talerzyka czy spodeczka, chyba, że to niemożliwe,



na przykład skoro idzie nie o kelnera, lecz o szofera taksówki, nie posiadającego spodeczka pod ręką; b) najlepiej obserwować, co robią w danej sytuacji Anglicy—naprz. w barach i popularnych herbaciarniach w rodzaju "Lyons" nie dają napiwków, zaś w innych lokalach czy restauracjach—około 2 pensów od szylinga, tyleż w taksówkach; choć skoro opłata za przejazd wynosi kilka szylingów, można łączną kwotę napiwka lekko obniżyć tak, by wynosiła około 10% do 15%, jak we Franji.—c) lepiej nie dać żadnego napiwka, niż wzamian podać obcemu kelnerowi rękę . . . —d) w kinach, w miejskich zakładach kąpielowych, w różnych szatniach wisi niekiedy zawiadomienie, że służbie nie wolno przyjmować napiwków; wątpię jednak, czy "zainteresowany" będzie biegł za gościem na ulicę, by mu zwrócić dyskretnie pozostawiony "tip," co nie znaczy, że należy zabawiać się w przeprowadzanie tego rodzaju doświadczeń. Zastrzegam się z góry, że żadnych reklamacyj na powyższy temat przyjmować nie będę wobec zawiłości zagadnienia.



P.S. (**Post scriptum**—"po polsku," jak i po angielsku). Właściwie dopisek ten powinien być umieszczony na samym końcu naszego "A.B.C.," że jednak brakło mi czegoś na "P" więc uprosiłem Pana Porucznika-Redaktora, by wyjątkowo takie P.S. umieścił w środku. Obiecał mi "na pe." Chciałem mianowicie zanotować pewien głos czytelnika w związku z Nr. 22 "Polski Walczącej": jak się okazuje mało kto z Polaków uchwycił różnicę między wyrazami angielskimi "aliens" (cudzoziemcy) i "allies" (alianci), uważając się często za alianta tam, gdzie go traktują tylko jako cudzoziemca. Przy okazji dodam, że zabawny chochlik został przypadkowo we wspomnianym artykule uniknięty. Oto angielski linotypista, składający polską gazetę omylił się w jednym z nielicznych angielskich wyrazów jakie zacytowałem. Dopiero wynikłaby kasza w umysłach polskich aliantów, gdyby wyraz "allies" został mylnie wydrukowany! Na szczęście polski korektor poprawił błąd angielskiego drukarza w angielskim wyrazie. . . . Natomiast w artykule zamieszczonym w Nr. 23 w notatce o "Identity card" ówże angielski linotypista sięgnął pamięcią zbyt daleko: dowody osobiste obowiązują w Anglii dopiero od 29 września 1939 roku, a nie 1839! Nasz angielski przyjaciel pragnął najwidoczniej pocieszyć nas, że nie tylko w Polsce trzeba było mieć paszport zawsze w pogotowiu. W Anglii, aż do wojny wierzono każdemu na słowo.



Sorry!—to bardzo ważny wyraz angielski. Zaryzykujmy powiedzenie, że w Anglii można dać sobie ostatecznie radę i uchodzić za grzecznego cudzoziemca, skoro się będzie operowało czterema wyrazami: yes, no, thanks i—sorry. O "thank" pisaliśmy pod odpowiednią literą. Powiedzmy w nawiasie, że na przykład przy stole nigdy nie odpowiada się "thank you," skoro nam zaproponują dodatkową porcję czy tp., lecz zawsze: "yes, thank you," "no, thank you."—"Sorry" to skrót od wyrażenia : "I am sorry" co oznacza: "przepraszam," ale w tym sensie, gdy przepraszamy kogoś za szturchnięcie go, za nastąpienie komuś na nagniotki (zakładając, że je posiada), za spóźnienie się (o, yes!). Polskie "przepraszam" — wypowiadane u nas przed katastrofą jakiegoś szturchnięcia czy innej niegrzeczności—Anglik wyraża przez "excuse me," używane przez Polaka mylnie zamiast "sorry." "Sorry" to: "żałujący." Niekiedy słyszymy: "So sorry!", gdy ktoś bardzo żałuje i bardzo przeprasza i wtedy całą duszę wkłada w to pierwsze "sss." Lecz moja maszyna do pisania nagle mi się zająknęła: przypomniałem sobie, ile razy Polacy następują sobie wzajemnie na nagniotki i bynajmniej nie zdobywają się na najmarniejsze, nic nie kosztujące nawet w języku polskim "przepraszam"?!

Zygmunt Frenkiel
Rysunki Tefa

Lotnicy u siebie

Szosa biegnie długie dziesiątki kilometrów. Wije się czarnym wężem przez ziemie Anglii, jakby wśród jakiegoś olbrzymiego, dobrze uporządkowanego parku.

Ranek cudny. Słońce uśmiecha się do nas i do wszystkiego co wokół widzimy. Jedziemy odwiedzić dwa polskie dyony bombowe, gotowe do walki. . . .

Nasze dwa autobusy mkną obok pól zasianych owsem. Są żniwa. Mijamy ogrody warzywne i owocowe, zielone łąki pełne pasącego się bydła i owiec wysokiej klasy, gdzie nie gdzie rasowe konie, na niektórych wzorowe hodowle kur. Łąki i pola są poprzegradzane żywopłotami.

Czystość, ład i porządek, a zarazem prostota, biją z każdego zakątka mijanego krajobrazu. Autobusy nie podnoszą tumanów kurzu. Czystość, ład, porządek i spokój obserwujemy i na szosie. Nie ma trabienia, nie ma wyścigu samochodów, nie ma kluczenia i wyścigu rowerzystów, nie ma wahania u pieszych. Gęsto spotykane kobiety rowerzystki i idące piechotą na szosie, czasem dzieci, wykazują spokój i opanowanie mężczyzn.

Cały krajobraz, ruch na drogach, sylwetki i zachowanie się mężczyzn, kobiet i dzieci—świadczą o spokoju, ładzie i opanowaniu Anglii, odzwierciadlają zdecydowanego i niezłomnego ducha, który nie da się zastraszyć.

Co jakiś czas na szosie i na wszystkich skrzyżowaniach spotykamy zapory przeciwczołgowe, małe betonowe i murowane gniazda K.M., osłony dla K.M. i strzelców z worków z piaskiem, zasieki z drutu kolczastego. To samo widzimy w rynkach mijanych miast i u wylotów ulic. Na większych polach i łąkach są ustawione trójnogi i kłody. Na drogach patrole samochodowe z K.M. Większe i mniejsze patrole piesze wojskowe i cywilne. Napisy i drogowskazy wszędzie zdjęte. Widzimy i w tym planowość, ład, zdecydowanie i spokój.

To Anglia czuwa, gotowa na wszelkie niespodzianki. Desant może wylądować, ale transportowce zostaną rozbite, żołnierze ranni, potłuczeni; spadochroniarze rozproszeni śród żywopłotów i drzew; czołgi zatrzymane na zaporach. Miejsce desantu od razu stwierdzone, otoczone przez oddziały miejscowe i lotne oddziały przeciwdesantowe. Staje przed oczyma jasny obraz walki—rozproszony i zdezorientowany nieprzyjaciel w obliczu zgranej i planowej akcji, w terenie przygotowanym do obrony.

To, co widzimy na bardzo dużym odcinku chyba nie jest wyjątkiem. Tak czuwa cała Anglia, spokojna i zdecydowana, czai się i czeka.

Wreszcie po trzech i pół godzinach jazdy—lotnisko. Mijamy szereg zasieków kolczastych. Na lotnisku jest jakieś inne powietrze, jakoś swobodniej w płuca wchodzi, jest zdrowe, takie swojskie lotnicze. Słońce równiej jakoś weselej się uśmiecha, więcej promieni lotnikom posyła, jest bardziej wspaniałe, bardziej słoneczne.

Lotnisko, wielkie centrum lotnicze, dywizjony i eskadry polskie gotowe. . . . Widzimy sylwetki samolotów, przy nich żołnierze z polskim orzełkiem. Mówi nam to, że wszyscy będziemy na lotnisku gotowi. . . .

Otacza nas od razu ciepła i serdeczna atmosfera gospodarzy Anglików i naszych kolegów, lotników.

Ogromnym rozmachem i rozgwarem tętni życie lotnicze, w miejscu, gdzie jeszcze niedawno płynęło ciche i dostatnie życie wioski angielskiej, podobnej raczej miasteczku. Hangary puste. Samoloty w powietrzu, na starcie, lub na punktach rozproszeniowych. Hangary—na czas pokoju i do remontu samolotów. Samoloty latają w dzień i w nocy.

Podziwiamy olbrzymie podziemne magazyny bomb i amunicji. Wszędzie gniazda betonowe z gotowymi do strzału K.M. Stanowiska K.M. przeciwlotnicze. Osłony z worków z piaskiem, rowy strzeleckie, przeciwodłamkowe, zasieki z drutu kolczastego—wszystko dobrze maskowane.

Cały teren lotniska, to teren dobrze umocniony i zorganizowany dla natychmiastowego unieszkodliwienia desantu. Czołgi, artyleria przeciwlotnicza, balony zaporowe—gdzie ich nie ma.

Koszary mają łazienki, natryski, ba, nawet urządzenia do prasowania mundurów. Stołownia, kuchnia,—czystość, porządek i obfitość smacznego jedzenia. Na śniadanie bekon z jajkiem i kawusia—co? Ale praca na lotnisku nie żarty—więc i siły muszą być.

Schrony betonowe są w każdym budynku, są obok budynków, są i w terenie. Zwiedzamy świetlice, czytelnie, sale bilardowe, kantynę. Izba chorych to mały szpital. Ma i salę operacyjną w schronie, obok dostosowany schron dla chorych. Zwiedzamy sale zajęć personelu latającego. Link-trener dla szkolenia w lotach na ślepo i lądowaniu we mgle, jak i w nawigacji. Właśnie załoga zgubiła się w chmurach. Nawigator pyta ziemię. Instruktor każe przekazać kurs. W ciągu 30 sekund pilot już leci według nowego kursu. W powietrzu, powiadają, tak samo. Startują i lądują we mgle. Latają i wykonują zadania w chmurach. Praca co? porozumiewa się przy tym w języku angielskim.

Jesteśmy na starcie. Loty ćwiczebne w bombardowaniu. Start co pół godziny. Jeden spóźnił się 1½, a drugi ½ minuty w starcie. Gromy dowódców, wstyd mechaników i załóg za brak punktualności. Proszę się wczuć w to drobiazgowe i sumienne przemyślenie wszystkich szczegółów, ile trzeba ćwiczyć i pracować, by być sprawnym kółkiem w dużej maszynie lotnictwa.

Wszyscy nasi koledzy, lotnicy, są ogromnie zadowoleni, powiem, szczęśliwi, że są zdolni już do pracy i że nareszcie pracują, i że są gotowi . . . oddać nieprzyjacielowi z nawiązką wszystko, co odeń niedawno otrzymaliśmy, pomścić krzywdy kraju i bliskich, oddać dobrze, by poczuł polską rękę—gotowi. . . .

Z całości wynieśliśmy silne wrażenie i przeświadczenie, że Anglia to twierdza. Jest nie do zdobycia. Czai się i czeka. Wróg jeśli napadnie połamie dotychczas mocne zęby i tym łatwiejszy będzie do pokonania następnie na swojej ziemi.

Wróg wojnę psychiczną i wojnę lotniczą już przegrał. Nasi koledzy, którzy poznali kolegów-Anglikow i z nimi dobrze się zżyli, tak ich charakteryzują: Jeśli Anglicy mówią, że są słabsi—to znaczy są silniejsi; jeśli powiedzą, że są na równi—będą przewyższali 3-krotnie; trochę silniejsi—to znaczy przewaga 6-krotna.

Półkozic

Z życia obozów

Uczymy się języków obcych

Normalnym okresem poznawania mowy zagranicznych ludzi jest epoka lat szkolnych, kiedy nauczyciele usiłują za wszelką cenę w szumiące młodością głowy, wtłoczyć przekonanie, że znajomość obcych języków jest rzeczą niezwykle pożyteczną; w późniejszym natomiast wieku tylko ludzie przyciśnięci koniecznością życiową lub ambitni maniacy zwykli się biedzić nad samouczkiem lub słownikiem. A tyczasem oto los, słusznie czasem garbatym nazwany, nastręcza nam w ciągu krótkiego stosunkowo czasu tyle sposobności do studiowania obcych języków, że nawet na nasze słowiańskie uzdolnienia jest tego dobrego trochę za dużo.—

Zaczęliśmy te przymusowe kursy we wrześniu ubiegłego roku. Kapitał zakładowy był bardzo niewielki: ci, co przekraczali granicę rumuńską uważali, że wystarczy polskie wyrazy zaopatrzyć w końcówki—iszti, eszti, aby się rozmówić, a wybierający się na Węgry oprócz słówek: "*Eljen!*" i "*Magyar*" znali tylko kilka siarczystych przekleństw zapamiętanych z czasów wielkiej wojny. Potrzeba zmusiła jednych i drugich do znakomitego pomnożenia tych skromnych zasobów. Mówiono później, że najpopularniejszym słówkiem wśród polskich tułaczy, korzystających z madziarskiej gościny, był wyraz: "*pengö*," a w Rumunii użycie bardzo swojsko brzmiącego powiedzonka: "*lej*" usuwało wiele trudności życiowych. Mowę Węgrów uznano za trudną i po nauczeniu się kilkunastu określeń pierwszej potrzeby nie bardzo się do jej zgłębienia przykładano, zwłaszcza, że nikt . . . nie zamierzał długo korzystać z gościnności naszych "bratanków."—

Ten sam powód obowiązywał również w królestwie Karola króla, a niezależnie od tego lwowiacy np. zgodnie orzekli, że rumuńszczyzna jest bardzo "łachowna," co w ogólnopolskim języku znaczy śmieszna i wobec tego nie warto jej zbyt wiele czasu poświęcać. Ostatecznie jednak przyswoiły sobie "polonezy" sporo słówek takich, jak "*refugiata*" (uchodźca) "*traiasca*" (wiwat!) i t.p., a co młodsi i bardziej niewieściego towarzystwa spragnieni, opanowali nawet nieźle podstawowe słownictwo miłosne. Podporą tych ostatnich wiadomości był wyraz "*frumos*" (piękny), który zgrabnie wpleciony w rozmowę wywoływał rumieniec i uśmiech nadobnej "*domniszory*" (panienki) i otwierał drogę do dalszych poufałości. Życie również zmusiło do poznania kilku narodowych przekleństw; często bowiem Rumun manifestował swoją sympatię wobec Polaków, wymyślając bardzo szpetnie naszym wrogom, a szczególnie dyktatorom: czerwonemu i brunatnemu. Nie wypadało więc patriocie być biernym w takim wypadku i nie sekundować z całego serca.

Przejazd przez Jugosławię wzbogacił naszą wiedzę językową o słowa "*molim*" (proszę) oraz "*zivili*"! (niech żyją!), którym witali nas serdecznie południowi pobratymcy, z Włochami zaś porozumiewaliśmy się doskonale przy pomocy szkolnej łaciny oraz międzynarodowej "migi."

Dopiero we Francji zakwitło naprawdę językoznawstwo. Warto się było potrudzić! Język, co się zowie: elegancki, wytworny w brzmieniu zarówno w ustach uroczej studentki Sorbony, jak i przekupki z hal paryskich, nęcił i pociągał. Wymowa wprawdzie trudna i pisownia cokolwiek zawiła, ale trudności te tylko podniecały chęci zdobywcze.—Zresztą i zapas wiedzy francuskiej wywieziony z kraju był stosunkowo znaczny; byli i tacy, którzy komendę całego kadryla bezbłędnie znali na pamięć. Ci jak pawie nadęci chodzili wśród pospólstwa żołnierskiego i troszczyli się tylko o akcent "paryski." Powoli jednak wszyscy porobili znaczne postępy i doszli do takiej wprawy, że czytali "drukowane," a nawet popularnego "*s'il vous plait*"—używali wcale sensownie. Zanim jednak zdążyliśmy nabrać szlifu i wszedłszy do sklepu, nie ogłaszać uroczyście: "moja prosić papieros," zakotłowało się we Francji i nauka została przerwana. Potem zaczęły się dziać rzeczy niepojęte; spostrzegliśmy, że jesteśmy bieglejsi od Francuzów. Myśmy bowiem dobrze rozumieli stare rewolucyjne hasło "*La patrie est en danger*," a oni całkiem lekko brali to, że "ojczyzna jest w niebezpieczeństwie" i grali wspaniałą "Marsyliankę" po ogłoszeniu kapitulacji.

Paliła nam się pod nogami tamta ziemia; ślepi staliśmy się na uroki jej krajobrazu, głusi na dźwięk mowy i piosenki. A kiedyśmy już bezpieczni kołysali się na "Clan Fergussonie" zaprzęgnięto nas do roboty nad poznaniem nowego języka: angielskiego. Wprawdzie pierwsze informacje o funtach i o gwineach do tej pory nie zostały wykorzystane, przebywamy bowiem ciągle w sferze pensów, co najwyżej szylingów, ale zasób nowej wiedzy językowej ustawicznie się powiększa. I tak np. "*Yes*"!—umieją już wszyscy i uważają na razie za najpotrzebniejszy składnik rozmowy. Język nie jest zresztą taki trudny, chwalimy sobie brak odmiany przymiotników i mądre słówko "*You*," którym można nazwać każdą istotę na obszarze Imperium bez obawy, że się obrazi.

Tylko znowu ta wymowa! I na tym tle wyrosła nowa plaga: poprawiacze! Żebyś się bracie na głowie postawił nie zadowolisz takiego typa. Mówisz najbardziej "nosowo," jak tylko umiesz np. "*the fish*," a on z pobłażliwym uśmiechem kręci głową: "nie, nie, panie kolego, "dze fysz" i powtórzy to dziesięć razy, a drugi, jeśli się znajdzie w pobliżu na pewno wyśmieje i ciebie i jego i zacznie ci cedzić przez zęby swoją metodą wymawiania.—Kończy się to zwykle tak, że zniecierpliwiony uczeń mówi po polsku: odczep się, albo coś jeszcze bardziej dosadnego.

Samouczki, podręczniki i słowniki mają ogromne powodzenie; żaden romans kryminalny nie był tak poczytny w obozie, jak: "1000 słów po angielsku," albo inne dziełko, którego autor zapewnia na wstępie, że uczy "szybko, łatwo i przyjemnie." Powstają doraźne spółki akcyjne dla zakupna podręczników, a okoliczne księgarnie nie mogą podołać zamówieniom. Na ogół jednak brać żołnierska wyznaje słuszną zasadę, że rozmowa jest najlepszyn ćwiczeniem i flirtuje na potęgę. Szczególnie Podhalanie dzięki pelerynom, tak przydatnym w tutejszym klimacie chłodnym i wilgotnym, mają duże powodzenie u dam szkockich. Chociaż jest dużo dobrych chęci nie brak i trudności wynikających z wieloznaczności wyrazów.

Oto np. słowo "*nut*" oznacza równie dobrze orzech, jak głowę i rozum. I któż może zaręczyć, że gdy wejdziesz do sklepu po orzechy, kupiec zakłopotany nie odpowie, że niestety nie ma rozumu do odstąpienia? Albo te pomyłki! Idzie lipową aleją ułan z zażywną Szkotką i poetycznie jej powiada, że widocznie dla męża rezerwuje wyłącznie serce, skoro jest taka chłodna dla niego. Owo "dla" chciał wyrazić przez "for," ale pomylił się o jedną literkę i wyszło "four," co oznacza cztery. Dama zatrzymała się, unicestwiła spojrzeniem zmotoryzowanego kawalerzystę, poczem z godnością odrzekła, że być może Pan Wojak ma takie przestronne serce, które dla czterech wystarczy, ona ma jednego tylko męża, który jest na wojnie i walczyć będzie aż do zwycięstwa. Co powiedziawszy, podniosła wojowniczo kciuk do góry i odeszła w gniewie.

Ale mimo tych trudności dogadali się nasi żołnierze bardzo łatwo z "miejscowym społeczeństwem" i przyjaźń polsko-szkocka kwitnie wspaniale, więc codziennie rano z namiotów dochodzą odgłosy "wkuwania" słówek lub mozolnego sylabizowania. Bardziej zaawansowani tłumaczą już na język polski zdania wybrane przez p. Mac Calluma, czasem uderzające głębią swoich spostrzeżeń; np. "Podróżowanie po Europie nie jest teraz tak przyjemne jak przed wojną," albo poruszające w człowieku struny, którym nie zawsze dźwięczeć każe nauka obcego języka. "Lubię spacerować w piękny wieczór wiosenny wzdłuż brzegów Wisły" albo' 'Jak daleko jest z Warszawy do Londynu?"

Wiemy, że jest bardzo daleko, ale wierzymy, że dojdziemy i pójdziemy "wzdłuż" brzegów Wisły," choćby nawet nie wiosna była, ale plucha jesienna panowała na świecie. I dlatego m. in. pilnie uczymy się angielskiego. Chociaż tłuką się po głowie takie myśli, że gdyby tak można było rychło wrócić do kraju i listownie dokształcić się dalej, to było by najcudowniej. I najskuteczniej. Bo to przecież tak zachwalana metoda korespondencyjna.

Ludwik Bojczuk



Lekcja języka obcego i przyjaźni *fot. Pikiel*

Kocioł bałkański

"Kto chce jeść kolację z diabłem powinien wziąć długą łyżkę." Król Karol rumuński zapewne powtarza sobie dziś to angielskie przysłowie. Neutralność rumuńska od początku wojny, miała swój własny, odrębny charakter. Rumunia była w przymierzu z Polską. Przed samą wojną przyjęła gwarancję angielską. Mimo to od pierwszej chwili polityka króla Karola była polityką zbliżenia się z Niemcami i Włochami. Faszyzacja Rumunii postępowała w tempie błyskawicznym. "Żelazna Gwardia," która była ekspozyturą hitlerowską powróciła do łask i objęła nawet rządy. Tą przyjaźnią z Niemcami król Karol chciał okupić powstrzymanie żądań węgierskich i bułgarskich, chciał zaszachować apetyty rosyjskie na Bessarabię.

To ostatnie złudzenie prysło odrazu. Hitler nie kiwnął palcem, gdy Stalin zażądał nie tylko Bessarabii ale i Bukowiny. I Rumunia musiała się poddać. Poczem król Karol ściślej jeszcze związał jej losy z losami osi. Premierem został Gigurtu, osobisty przyjaciel Goeringa, ministrem spraw zagranicznych leader Żelaznej Gwardji, Manoilescu, który w czerwcu oświadczył w Wiedniu, że "prawdziwym wilkiem jest nie Berlin, a City londyńska." "Neutralność" rumuńska co raz bardziej stawała się podobna do ś.p. włoskiej "nie-belligerencji" (czyli niewojowania).

Cała nafta rumuńska zaczęła iść do krajów osi, przyczem nie tylko wprost wywłaszczono kapitał francuski i brytyjski, ale zaaresztowano naczelnych inżynierów Anglików. Statki angielskie na Dunaju zostały poprostu zabrane. Rumunia w stosunku do Anglii zajęła stanowisko wyraźnie wrogie. Gwarancji brytyskiej zrzekła się z pogardą. Tą uległością chciał król Karol uratować Siedmiogród i Dobrudżę. Nie pomogło. Przede wszystkim Bułgaria zgłosiła swe pretensje, "moralnie" poparte przez Berlin, Rzym i Moskwę. Pretensje zresztą uzasadnione. Bukareszt się poddał. Południowa Dobrudża wróciła pod bułgarskie panowanie.

Potem przyszła kolej na Siedmiogród. Król Karol ciągle się łudził, że tu go poratują. Miał nadzieję, że uda się okupić ustąpieniem drobnej części i jakimś przesiedleniem ludności. Pierwsze rozmowy z Węgrami w Turnu Severin rozbiły się, gdy delegaci węgierscy nie chcieli nic ze swych żądań ustąpić. Nie pomogło. Przyszedł rozkaz. W tym samym Wiedniu, w którym dokonano rozbioru Czechosłowacji, znowu zjechali się jako arbitrowie von Ribbentrop i hrabia Ciano. Rumuńskich delegatów nie wpuszczono na salę obrad. Ogłoszono im wyrok. Należy oddać Węgrom wiekszą część Siedmiogrodu, należy zapomnieć o tym, że Rumunia była zwycięską w 1918 r.

Król Karol, król dyktator się poddał. Ale nie na tym koniec. Buntuje się Siedmiogród. Buntuje się stary Maniu. Maniu, rumuński Witos, przywódca chłopów rumuńskich, który walczył o Siedmiogród i przed 1914 rokiem i podczas wojny. Maniu, który wprowadził króla Karola na tron z wygnania, a którego Karol może za to właśnie prześladował swą nienawiścią. Może za to, a może za to, że Maniu reprezentuje demokrację rumuńską, tę demokrację, którą Karol chciał zlikwidować. Buntuje się "Żelazna Gwardia." Bo, aczkolwiek sam Codreanu i nie którzy z przywódców "Żelaznej Gwardii" byli po prostu ajentami hitlerowskimi, to w dołach było wielu, którzy uczciwie wierzyli, że przymierze z Hitlerem uczyni Rumunię mocarstwem. Leje się krew. Już był zamach na życie króla. Niedługo potem zmuszono go do złożenia korony i opuszczenia kraju. Wiadomo, że na granicy rumuńskiej czekają wojska niemieckie z jednej, wojska sowieckie z drugie strony. Niepodległość całej Rumunii jest dzisiaj już tylko liczmanem.

Są tacy, co przypuszczają, że wejście Niemiec do Rumunii będzie uzgodnione w czasie z wejściem Włoch do Grecji. Wiadomo bowiem, że Włochy w imieniu Albańii żądają Janiny, dla Bułgarii żądają dojścia do morza Egejskiego.

Grecja zapewne się nie podda dobrowolnie. W każdym razie nie zrzekła się dotychczas gwarancji angielskiej i rząd Jego Królewskiej Mości oświadczył, że gwarancji tej dotrzyma. Ostateczny jednak rozwój sytuacji zależy od stanowiska Turcji. Gdyby nawet uważać, że pakt bałkański jeszcze istnieje, to i tak *legalnie* Turcja z mocy tego paktu nie ma obowiązku przyjść Grecji z pomocą. Tak to mądrze urządził Venizelos. W chwili bowiem zawierania paktu bałkańskiego Włochy groziły nie Grecji, a Jugosławii. I Venizelos wprowadził wobec tego do paktu zastrzeżenie, że nie obowiązuje on w wypadku, gdyby to nie bałkańskie mocarstwo napadło na jednego ze sprzymierzeńcow. Z mocy paktu angielsko-tureckiego Turcja miałaby obowiązek się ruszyć. Nakazuje jej to zresztą jej własny interes. Turcy dobrze bowiem wiedzą, że w programie ekspansji Mussoliniego leży i Anatolia.

Stanowisko Turcji jednak jest w 99% zależne od stanowiska Moskwy. W czasie pokoju, podczas konferencji w Montreux w r. 1936 mógł sobie jeszcze Tewfik Rustu Aras pozwolić na zagranie z Anglikami przeciw Litwinowowi. Kosztowało go to zresztą stanowisko ministra spraw zagranicznych. Wojna jednak z Rosją jest dla Turcji śmiertelnym ryzykiem. I dlatego zresztą nawet w pakcie turecko-angielskim jest zastrzeżenie, że pakt ten nie może zobowiązać Turcji do wojny z Rosją. Póki jeszcze trwał front zachodni, póki w Syrii była armia Weyganda może by jeszcze Turcja była mogła wziąć na siebie to ryzyko. Dzisiaj żaden mąż stanu turecki na to się nie odważy, chyba że kraj jego własny był by bezpośrednio zagrożony.

Moskwa więc może dopomóc Włochom do złamania oporu greckiego, oświadczając w Atenach i w Ankarze, że wejście Turcji do wojny będzie hasłem dla wojsk rosyjskich do przekroczenia Kaukazu. Może im przeszkodzić zajmując w sporze grecko-włoskim stanowisko neutralne.

Większość prasy brytyjskiej zapewnia, że to ostatnie stanowisko będzie stanowiskiem rosyjskim. Motywuje to tym, że dla Moskwy nie może być obojętne wejście osi na Bałkany, na drogę do Stambułu i cieśnin. Optymizm jednak angielski okazywał się już nieraz zawodny. Wszak na samym początku rokowań rumuńsko-węgierskich można było czytać, że Moskwa oświadczyła w Bukareszcie, iż jest przeciwna ustępstwom dla Węgier.

Oczywiście interes państwowy rosyjski wymaga działania przeciw usadowieniu się Berlina i Rzymu czy w Jugosławii, czy w Grecji. I z tego punktu widzenia należy przyznać angielskim komentatorom, że rozumują logicznie. Stalin jednak dał już dowody, że udział w łupach jest w jego oczach istotnym wyrównaniem dalekich niebezpieczeństw.

XXX

Przegląd polityczny

roku 1919, po zawieszeniu broni a w czasie dyskusyj na temat pokoju—zgłosił marszałek Foch wniosek, aby linię granicy Francji poprowadzić wzdłuż Renu.

—*Najlepszą gwarancją pokoju, zarówno dla nas, jak i dla całej Europy—mówił—będzie stałe obsadzenie przyczółków mostowych na Renie przez oddziały francuskie.*

Przeciwko temu projektowi występował Loyd George, kierując się fatalną zasadą "niedopuszczenia do zbyt wielkiej katastrofy Niemiec."

—Doceniam Pańskie uwagi—odpowiadał Fochowi—ale przecież będziecie mieli gwarancję Anglii i Ameryki. . . . Nikt w Europie nie ośmieli się wystąpić przeciwko połączonej potędze mocarstw anglo-saskich.

—*Z pewnością*—rzekł Foch—*o ile Ameryka sama zdecyduje się wystąpić z chwilą, kiedy tylko Francji zagrozi niebezpieczeństwo. . . .*

Smutne przeczucie zwycięzcy w wojnie światowej okazało się słuszne. Ameryka wycofała się ze spraw europejskich—i następstwo tego kroku odczuł w sposób zdecydowanie ujemny cały świat. Ale dzisiaj nie "tylko" Francji grozi niebezpieczeństwo. Tak, jak zawodną okazała się linia Maginota, tak co raz to bardziej słabą zaporą okazuje się Atlantyk.

Jeżeli Stany Zjednoczone—mowił niedawno b. ambasador amerykański w Paryżu, Bullit—będą uważały Ocean za swoją "linię Maginota"—to slogan ten spowoduje jeszcze gorsze konsekwencje, aniżeli wiara w niezawodność umocnień betonowych. . . .

W poprzednich artykułach zwracaliśmy już uwagę, że w Ameryce powoli ale wyraźnie nastawia się koła historii Stanów na inny tor. Każdy niemal tydzień przynosi nam potwierdzenie tej opinji. I tak np. z prawdziwą radością powitaliśmy fakt zawarcia umowy między Anglią a Stanami Zjednoczonymi, umowy, której nie wszystkie szczegóły są znane ale nawet to, co wiemy—stanowi duży powód do zadowolenia.

Więc przede wszystkim angielsko-amerykański układ o wspólnej obronie wschodniego wybrzeża Ameryki. *Anglia wydzierżawia Stanom na przeciąg lat* 99 *swoje bazy lotnicze i morskie na przestrzeni od Kanady aż do Gujany brytyjskiej.* Państwo angielskie względnie rząd kanadyjski zachowuje swe zwierzchnictwo nad tymi obszarąmi; *ale zgadza się, żeby te porty stanowiły również oparcie dla sił lądowych, morskich i powietrznych Stanów Zjednoczonych.*. W zamian za to, Ameryka odstępuje Brytanii 50 kontr-torpedowców, które będą mogły objąć służbę natychmiast. Prasa angielska podkreśla z całym naciskiem, że statki te są najnowszego typu, a nie, jak to usiłuje wmówić w społeczeństwo piąta kolumna "okręty dawnego typu." Te torpedowce i kontrtorpedowce oddadzą olbrzymie usługi w walce z łodziami podwodnymi. I tutaj trzeba podkreślić, że wszystkie nadzieje niemieckie, aby odciąć Anglię od reszty świata i przeprowadzić cztery razy zapowiadaną "najściślejszą blokadę"—całkowicie dotychczas zawodziły. Straty marynarki handlowej brytyjskiej zmniejszają się z każdym miesiącem wojny.

Układ w sprawie wspólnych baz morskich i lotniczych, zawarty Między Londynem a Waszyngtonem ma bardzo duże znaczenie zarówno pod względem strategicznym jak i politycznym. *Linia obrony anglo-amerykańskiej tworzy olbrzymi łuk, od Nowej Fundlandii, przez Halifax, Boston, Nowy Jork, Filadelfię, Norfolk, Charleston i Wyspy Bermudy, dalej Key West i Wyspy Bahama—poprzez Wielkie i Małe Antyle—aż do Trinidad i Georgetown w Gujanie Brytyjskiej.* Wszystkie te miasta i wyspy, zamienione w fortece, pozwolą rozciągnąć najściślejszą kontrolę zarówno nad zachodnim wybrzeżem Atlantyku jak i Zatoką Meksykańską.

Poza tym, układ, który jak wspomnieliśmy, jest tylko częścią bliżej nieznanej umowy anglo-amerykańskiej stanowi najwymowniejszy dowód co raz to bardziej zacieśniających się węzłów wspólnych interesów, zarówno ideowych, jak wszelkich innych—między Anglią a Stanami. Współpraca ta idzie tak daleko, że niektóre pisma angielskie *(Sunday Dispatch)* wysuwają projekt, aby stworzyć specjalne ministerstwo dla spraw amerykańskich w Londynie a dla spraw angielskich w Waszyngtonie. Stosunki między dwoma mocarstwami są tego rodzaju, że przerastają normalną działalność obu ministerstw spraw zagranicznych. W Stanach Zjednoczonych odbywają się ogromne wiece przeciwnazistowskie a zakłady pracujące dla przemysłu wojennego, potroiły swą wytwórczość. Są to fakty, stwierdzające niezbicie, że czynnik czasu działa na korzyść WBrytanii.

Wiedzą o tym Niemcy i stąd owe rozpaczliwe wysiłki, aby za wszelką cenę wywalczyć jak najszybciej rozstrzygnięcie. W Berlinie zdają sobie sprawę, że jeżeli Anglia wytrzyma ogromną ofensywę powietrzną i próby lądowań na jej wybrzeżach—to prędzej czy później do wojny wejdą Stany Zjednoczone, a wówczas o wygraniu wojny przez Niemcy nie będzie mowy. Jak dotąd, wszystkie wysiłki niemieckie, wszystkie masowe naloty rozbijają się o zdecydowaną wolę i energię angielskiego społeczeństwa, tudzież bohaterstwo zarówno floty jak i lotnictwa. Mamy głębokie przekonanie, że tak będzie i nadal.

Z Rumunii, znikającej powoli z karty Europy wygnano króla Karola. Karol został zmuszony do rezygnacji z następstwa tronu na rzecz swego syna Michała. Po śmierci króla Ferdynanda zdołał dostać się na tron rumuński, dzięki staraniom swego przyjaciela, wybitnego zresztą historyka, prof. Jorgi. Podobnie jak w życiu prywatnym, tak i w sprawach państwowych, nie kierował się król Karol wskaźnikami umiaru i rozwagi. Niezdecydowany w polityce zagranicznej, pokłócony z najwybitniejszymi mężami stanu, jak np. z Titulescu—król Karol stworzył dyktaturę dworskiej kamaryli i narzucił krajowi rządy kliki ludzi, znienawidzonych przez całe społeczeństwo. Doprowadziło to do zobojętnienia mas na sprawy państwa, do upadku uczucia patriotycznego a w dalszym ciągu do podziału Rumunii.

Królem rumuńskim jest po raz drugi ks. Michał, ale faktyczne rządy pozostają w ręku wszechwładnego premiera generała Antonescu, który jest mężem zaufania partii totalistycznej, tz. "Żelaznej Gwardij." Antonescu, sprawujący rządy dyktatorskie—jest zwolennikiem najściślejszej współpracy z Niemcami. Ale Niemcy nie są bynajmniej popularne w społeczeństwie—i dlatego nie jest wykluczone, że dla poparcia premiera trzeba się będzie uciekać do pomocy pułków niemieckich, które jakoby są gotowe do wkroczenia do kraju. W każdym razie niepodległość polityki rumuńskiej staje się co raz to większą fikcją. Porozumienie niemiecko-sowieckie, może położyć tej fikcji kres.

O porozumieniu tym mówi się co raz częściej—ale teorii przeczy praktyka życia. I cały układ berlińsko-moskiewski jest tylko odwlekaniem nieuniknionej rozgrywki między dwoma totalizmami. Na razie Niemcy zajęte są na Zachodzie a Rosja jest do wojny nieprzygotowana—lecz czynniki te mogą działać hamująco tylko przez pewien, co raz to bardziej ograniczony przeciąg czasu. Z faktu tego zdają sobie sprawę mimo wszystkich oficjalnych zapewnień—i w Berlinie i w Moskwie.

tk

Skrzynka pocztowa

"Udaję się do Pana Redaktora z uprzejmym zapytaniem, czy robi się coś ze strony polskiej w sprawie informowania Anglików o Polsce? Bo my, Polacy, spotykamy się z takimi pytaniami, że aż dziwne się nam wydaje, żeby do tego stopnia Anglicy byli ignorantami. Sam spotkałem się dziś z zapytaniem, czy w Polsce są autobusy.

Moi koledzy znów—czy w Polsce są teatry, czy ludzie się tak ubierają, jak w Anglii, czy we Francji. To znowu jakiś Anglik znał trochę język i czytał po rosyjsku. Od jakiegoś czasu kupuje gazety polskie i nie może pojąć dlaczego przeczytać nie może i nic nie rozumie. Otóż myślę, że można by temu zaradzić, żeby nas wreszcie ludność angielska odróżniała od Rosjan czy Czechów. Trzeba, by trochę poznała historię i geografię Polski. Ta ignorancja wiele nam zaszkodziła na konferencji pokojowej w 1919 r.

Nie można do tego teraz dopuścić. Tylu jest Polaków w Anglii, są profesorowie-historycy, geografowie, są ludzie znający angielski, niech piszą broszurki, niech przez radio się mówi o Polsce, niech młodzież w szkołach angielskich czyta opisy o naszym kraju. To samo trzeba zrobić w obu Amerykach. Propaganda, propaganda, nie żałować wysiłku i grosza. To jest konieczne, nawet na daleką metę a niewątpliwie wyda dobre rezultaty.

Ludność angielska odnosi się do nas z wielką życzliwością i serdecznością, chwytajmy te chwile, gromadźmy siły moralne. Wiemy, że rząd angielski liczy się z opinią publiczną; zróbmy, co w naszej mocy, aby opinia ta była dla Polski, jej interesów zdecydowanie przychylna. Polska walcząca nie tylko orężem, ale i propagandą.

Przepraszam Pana Redaktora, że piszę o tym, o czym wszyscy wiedzą, i zdają sobie sprawę, ale chciałem uspokoić swoje sumienie, czy w tej materii się coś robi.

Jan Kurkiewicz ppor.

Drukujemy list Kolegi w pełnym brzmieniu jako wyraz troski. Odpowiadamy, że w zakresie propagandy robi się wiele, nie tyle przecież, ile by Kolega pragnął. Z tej prostej przyczyny, że wysiłek rządu skupia się w danej sytuacji na wojsku, że praca informacyjna na tę skalę o jakiej kolega myśli wymaga i dłuższego przygotowania, i ogromnego kapitału i przede wszystkim ogromnych pieniędzy. Z wypadkami aż zabawnej ignorancji spotykaliśmy się także we Francji. Tu nie są one chyba częstsze. Tu każdy z nas ma możność i obowiązek najprostszej i najskuteczniejszej propagandy swoim zachowaniem się, swoim sposobem bycia, stosunkiem do ludzi. Na tej podstawie przede wszystkim Anglicy będą sądzić o kulturze całego społeczeństwa polskiego.

* * *

". . . Przede wszystkim — mimo zapowiedzi—byłem zdumiony i zachwycony serdecznością i gościnnością "skąpych" Szkotów, którzy zajmują się nami w tak delikatny i wdzięczny sposób, że czynią nasze życie znośne. Nie wiem, czy należy to przypisać ich wyrachowaniu czy ich naturze, w każdym razie żołnierz w tych warunkach wykazuje kilkakrotnie wzmożoną cierpliwość i wytrzymałość na monotonność biwakowania. Żadna świetlica, żadne WF, gazety, gry nie oderwą nas od szarości w tak doskonały sposób, jak obcowanie w milutkich domach szkockich, spacery z rozkosznymi Szkotkami i zabawy z ludnością miejscową. Byłeś dłuższy czas w obozie, to wiesz, że nie przesadzam, mogę Cię tylko zapewnić, że ich gościnność w stosunku do Polaków nie osłabła. Jeszcze ciągle można spotkać się z wypadkami, że Szkot spotka przygodnie na szosie polskiego żołnierza i podaruje mu patefon z pełnymi albumami płyt, że płaci rachunki polskich żołnierzy w restauracji, mimo, że nie był w ich towarzystwie, że Szkotki wykupują wszystkie dostępne książki o Polsce, że doskonale wymawiają nazwy np. Rawa Ruska lub Żółkiew, dalej, doskonale potrafią określić położenie tych miejscowości. Polacy są bezwzględnie więcej lubiani od francuskich żołnierzy. . . .

Na szczęście pogoda na ogół dopisuje, tak, że można wytrzymać w namiotach. Dostaliśmy wszyscy pełne umundurowanie i ekwipunek, a oddziały uzbrojenie potrzebne do szkolenia. To, czego nie mogliśmy się doczekać we Francji przez 9 miesięcy—dostaliśmy tutaj natychmiast. Takie fakty jednak wzbudzają duże zaufanie w naszych bardzo krytycznie wyostrzonych mózgownicach, tym bardziej, że wszędzie spotykamy się z doskonałą, trochę powolną, ale solidną organizacją angielską. . .

. . . . Widzę, że "Polska Walcząca" jest bardzo poczytna, choćby dlatego, że jest to jedyne pismo stojące blisko wojska i zajmujące się sprawami wojskowymi w odróżnieniu od pism partyjnych. . . ."

aspirant Jakub S.

* * *

Otrzymujemy wiele listów z żądaniami dostarczenia tekstów poetyckich i scenicznych. Z wielkim żalem odpowiadamy, że nie jest w naszej możliwości zaspokoić te żądania. Radzimy w tych sprawach komunikować się z wydawcą "Pana Tadeusza"—Kolin Publishers, 36, Great Russell St., London, W.C. 1, oraz z instytucjami roztaczającymi opiekę nad żołnierzem.

KOMUNIKAT

Komenda Harcerek w Anglii (adres: c/o Mme. Małkowska, Lansdowne House, Lansdowne Road, W.11. Tel. PARK 4825 w godzinach: co dzień rano od 9 do 11, oraz w poniedziałki, środy i piątki od 6 do 8.) wzywa do zarejestrowania się w Komendzie wszystkie harcerki oraz te osoby, które chciałyby do harcerstwa wstąpić. Osoby lub instytucje pragnące na swoim terenie zorganizować pracę harcerską są uprzejmie proszone o uprzednie porozumienie się z Komendą Harcerek w Londynie.

Komendantka: Olga Małkowska.

WYDAJE WYDZIAŁ PROPAGANDY I OŚWIATY SZTABU NACZELNEGO WODZA.
Adres Redakcji i Administracji: 23 Beaumont St., London, W.1.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press, Portugal St., Strand, W.C.2.